

gazeta ZBOROWA

Czasopismo Pierwszego Zboru KChB w Gdańsku (październik 2014)

TEMATY NUMERU

Kiedy przyjdzie Jezus?

Lato z Bogiem

Spotkanie pielęgniarki z niedoszłym zakonnikiem

SPIIS TREŚCI:

2. Spis treści
3. Strona redakcyjna
4. Kiedy przyjdzie Jezus?
Robert Miksa
10. Moja dumka
Wioletta Uszkiewicz
19. Radykalna zmiana (errata)
Joanna i Łukasz Gąsiorowscy
20. Wywiad
Basia i Andrzej Kos
26. Świadeństwo
Agnieszka i Dawid Kotlewscy
28. List z Etiopii
Iza Karpienia
33. Polish your English
Elizabeth Brownd
34. Wakacje na Dolnym Śląsku
Witold Turzański
35. Obóz w Stężycy
Natalia Uszkiewicz
36. Festiwal nadziei
Agnieszka Walicka
38. Prześladowania chrześcijan
Open Doors
42. Gotuj z Kasią
Kasia Urbańska
43. Krzyżówka
Justyna Kułaga



STRONA REDAKCYJNA

Drodzy Czytelnicy!

Witamy Was po wakacyjnej przerwie. Mimo, że już jesień w pełni, powspominamy jeszcze tegoroczne lato - lato z Bogiem.

Rozpoczynamy kontynuacją artykułu z poprzedniego numeru - Kiedy przyjdzie Jezus? Pastor Robert Miksa tym razem wprowadza nas w aspekt interpretacji prorocत्व.

Zachęcamy do przeczytania obszernej relacji z misyjnego wyjazdu na Ukrainę. To był na pewno niesamowity czas, a swoimi wspomnieniami i wrażeniami dzieli się z nami Wiola Uszkiewicz.

Za to od Izy Karpień otrzymaliśmy list z Etiopii. Dowiesz się o przygodach, z jakimi się ostatnio zmierzali.

Wywiad. Przepraszamy za usterki techniczne związane z wywiadem z Joanną i Łukaszem Gąsiorowskimi. W tym numerze zamieszczamy początek wywiadu, który nam "zjadło" podczas składu gazety :)

Zapraszamy też do nowego wywiadu. Niesamowici ludzie - pielęgniarka i niedoszły zakonnik. Poznaj Ich - lepiej ;)

Lato i wspomnienia z wakacji. Kilka słów od Witka Turzańskiego oraz relacja z Obozu ze Stężycy od Natalii Uszkiewicz.

Ten rok, co bardzo cieszy, jest obfity w chrzty wiary. Swoimi świadectwami dzieli się Agnieszka i Dawid Kotlewscy.

Od Open Doors otrzymaliśmy najświeższe dane na temat prześladowań. Módlmy się o Nich.

Jak dotrzeć do ludzi z ewangelią. Agnieszka Walicka podzieli się z Wami swoimi przemyśleniami z uczestnictwa w Festiwalu Nadziei.

Tym razem nie ma sudoku, a jest krzyżówka. Mamy nadzieję, że Was zaintyguguje i zaciekaui.

Pozdrawiamy Was serdecznie.

Redakcja

DANE ZBORU

Adres Zboru: ul. Dąbrowskiego 11,
80-153 Gdańsk

www.gdansk.baptysci.pl

kancelaria@gdansk.baptysci.pl

Nabożeństwo niedzielne: 10:30, piątkowe: 19:00

numer konta: 43 2490 0005 0000 4500 7591 4520

tytuł przelewu: Ofiara na cele kultu religijnego. Gazeta Zborowa

KONTAKT Z REDAKCJĄ

gzbrowa@gmail.com, redakcja@gdansk.baptysci.pl

Gazeta Zborowa jest drukowana dzięki finansowemu wsparciu czytelników.

Ofiary otrzymane za Gazetę są przeznaczone na podniesienie jakości technicznej.

Gazeta Zborowa przeznaczona jest do użytku wewnętrznego. Kopiowanie i wycinanie jest wskazane za wiedzą i zgodą redakcji.

Redakcja zastrzega sobie prawo do poprawiania, edytowania i skracania nadesłanych tekstów. Jednocześnie informujemy, że nie zamówionych tekstów nie zwracamy i nie obiecujemy, że zostaną one wydrukowane.

Wszystkie zdjęcia - jeśli nie zaznaczono inaczej - pochodzą ze strony internetowej: www.sxc.hu

Składu tekstu: Scribus - Open Source Desktop Publishing

ZESPÓŁ REDAKCYJNY



Kiedy przyjdzie JEZUS?

(część 2 - interpretacja prorocत्व)

Gdy po raz pierwszy, jeszcze jako nastolatek zetknąłem się z nauczaniem dotyczącym przyszłości (eschatologii), pomyślałem, że nareszcie ktoś jasno to przedstawił i w końcu to rozumiem. Z czasem jednak okazało się, że to, co słyszałem jest tylko jednym ze sposobów rozumienia księgi Objawienia i wcale nie najlepiej udokumentowanym. Kiedy po raz pierwszy spotykamy się z jakąś nauką, o której wcześniej nie wiedzieliśmy nic, albo prawie nic, pierwszy jej wykład staje się swojego rodzaju wzorcem dla wszystkiego, co usłyszymy później. Nic więc dziwnego, że przez wiele lat ten pierwszy wykład zawładnął moimi wyobrażeniami o czasach ostatecznych na wiele lat. Gdy jednak zacząłem dokładniej przyglądać się szczegółom, sprawa okazała się dużo bardziej złożona niż na początku się wydawało.

O czym jest księga Objawienia — kilka uwag wstępnych

Na początku księgi Objawienia

mamy zaskakujące słowa:

„Objawienie Jezusa Chrystusa, które dał mu Bóg, aby ukazać sługom swoim to, co ma się stać **wkrótce**;" (Obj 1,1). Podobnie na końcu tej księgi: „Nie pieczętuję słów prorocтва tej księgi! Albowiem czas **bliski** jest." (Obj 22,10). Jeżeli dodamy do tego jeszcze słowa Jezusa, który mówi: „Nie przeminie to pokolenie, aż się to wszystko stanie." (Mt 24,34), musimy zadać sobie bardzo ważne pytanie, o jakich czasach mówi ta księga? O jakich czasach mówił Jezus? Zwykle, kiedy myślimy o księdze Objawienia Jana, myślimy o niej w kontekście naszej przyszłości.

Pierwotni adresaci tej księgi również patrzyli na jej treść jako na opis wydarzeń przyszłych, z tym, że to, co dla nich było **nieodległą przyszłością** dla nas jest już **przeszłością**.

Jak więc traktować tę księgę? Rozumienie kluczowych pojęć i wydarzeń księgi Objawienia oraz rozmieszczenie ich na osi czasu będzie w dużej mierze zależało od

przyjętych wcześniej założeń, albo celów jakim ta interpretacja miała służyć. Nawiasem mówiąc, szukanie w Słowie Bożym potwierdzenia dla naszych przekonań, zamiast budowanie swoich przekonań na tym, co rzeczywiście Biblia mówi, to najczęstszy grzech popełniany przez studentów Słowa Bożego.

Można wyróżnić cztery główne sposoby podejścia do interpretacji prorocत्व czasów ostatecznych: **historycyzm, preteryzm, futuroizm i idealizm** (wyjaśnimy je w dalszej części). Sytuacja zmienia się, gdy dochodzimy do 20 rozdziału księgi Objawienia, gdzie pojawia się idea królestwa, które będzie trwało przez 1000 lat, tzw. **millenium**. To bardzo ważne pojęcie staje się podstawą do podziału na trzy szkoły. Wspomniane wcześniej cztery szkoły tutaj nieco mieszają się ze sobą tworząc nowy podział. Te nowe nazwy pochodzą od umiejscowienia czasu powrotu Jezusa w stosunku do

Kluczowymi pojęciami w eschatologii są: pierwsze i drugie zmartwychwstanie, zabranie (pochwycenie) wierzących, powtórne przyjście Jezusa, wielki ucisk, tysiącletnie królestwo, sąd ostateczny, wesele Baranka, ostateczne potępienie diabła i jego aniołów w jeziorze ognistym.



ROBERT MIKSA

wspomnianego 1000-letniego królestwa: **premillenializm** (Jezus powróci przed nastaniem 1000-letniego królestwa), **postmillenializm** (Jezus powróci po okresie 1000-letniego królestwa) i **amillenializm** (Jezus już jest Panem i króluje. Królestwo Boże już jest, ale nie w znaczeniu fizycznego 1000-letniego królowania na ziemi.)

Poglądy pierwszego kościoła

Już w tym momencie niektórzy mogą poczuć się nieco zagubieni i zadają sobie pytanie: Ale jak wierzył pierwszy Kościół? Przedstawiciele poszczególnych szkół bardzo lubią przekonywać, że to właśnie ich pogląd najlepiej wyraża nauczanie pierwotnego Kościoła. Niestety posiadamy jedynie szczątkowe informacje na temat poglądów pierwszych chrześcijan. Jedyne pełne opracowania tego tematu dostępne dzisiaj, pochodzą dopiero z IV wieku.

To, co z pewnością możemy powiedzieć, to fakt, że w pierwszym kościele nie było jedynej słusznej interpretacji prorocत्व dotyczących czasów ostatecznych, a powoływanie się przez poszczególne szkoły na tzw.

ojców apostoelskich jest tylko próbą budowania własnego autorytetu na wątpliwym fundamencie. Również później w historii kościoła żaden pogląd w tej kwestii nie zyskał statusu tego jedyne go prawowierne go.

Pomimo takiej sytuacji nie powinniśmy zniechęcać się do czytania i refleksji nad tym tematem, choćby ze względu na świadectwo samej księgi Objawienia: „Błogosławiony ten, który czyta, i ci, którzy słuchają słów proroctwa i zachowują to, co w nim jest napisane; czas bowiem jest bliski.” (Obj 1,3). Nawet jeżeli ciągle jeszcze nie potrafimy w sposób jednoznaczny odczytać tej księgi, to jestem przekonany, że gdy nadejdzie właściwa pora Bóg otworzy nasze oczy i da nam właściwe rozumienie.

Mt 3,2; 4,17; 10,7

W podanych wersetach Królestwo Boże nazywane jest Królestwem Niebieskim. Niektórzy bibliści toczą wielkie bitwy starając się udowodnić, że to nie jest to samo, co Królestwo Boże. Wystarczy jednak porównać podane wersety z: Mk 1,15; Łk 10,9; 10,11, by zobaczyć, że określenie „Królestwo Niebios” jest tu używane zamiennie z określeniem „Królestwo Boże”.

Początki

Najbardziej naturalne dla pierwszego Kościoła było spojrzenie z perspektywy odwiecznych oczekiwań Izraela, tj. ustanowienia na ziemi królestwa, w którym rządy sprawować będzie Mesjasz. Zapowiadał to już prorok Daniel (Dan 2,44). Gdy jednak oczekiwany Mesjasz przyszedł, większość Żydów odrzuciła go. Ci zaś, którzy go przyjęli byli ludźmi wychowanymi na naukach Starego Testamentu.

W żydowskich komentarzach dotyczących czasów ostatecznych dość często pojawiała się koncepcja sabatowego, tj. siódmego tysiąclecia w historii świata nazywanego „złotym”. Musimy jednak być świadomi tego, że idea ta nie wynikała z samego przesłania Słowa Bożego, ale doszukiwania się symbolicznego znaczenia w liczbach. O panowaniu Mesjasza, które miałyby trwać 1000 lat nie mówił żaden ze starotestamentowych proroków. Nie mówił też o tym Jezus. Informacja o tysiącletnim okresie panowania Mesjasza pojawia się po raz pierwszy dopiero w księdze Objawienia w 20 rozdziale.

Czytając ewangelie, widzimy zarówno Jana Chrzciciela jak i Jezusa i Jego apostołów zwiastujących nadchodzące

Królestwo Boże (Mt 3,2; 4,17; 10,7), ale nigdy nie mówią o tym, że miałyby ono trwać 1000 lat. Niemniej, dla wszystkich było zupełnie jasne, że nastanie epoki Królestwa Bożego nieodłącznie wiąże się z przyjściem i władzą Mesjasza. Z tego powodu zapowiedzi śmierci Jezusa początkowo były dla nich zupełnie niezrozumiałe. Gdy w końcu zaczęli rozumieć, że Jezus musi umrzeć i zmartwychwstać, pojawiła się kolejna niespodzianka: Mesjasz

zamierza odejść. Ale jednocześnie pojawia się nowa nadzieja: Mesjasz powróci. Stąd też, gdy Jezus mówi o swoim odejściu uczniowie pytają: „Panie, czy w tym czasie odbudujesz królestwo Izraelowi?” (Dz 1,6). Zauważmy, że uczniowie cały czas jeszcze myśleli o Królestwie Bożym w kategoriach ziemskich. Po drugie, Jezus nie daje odpowiedzi na ich pytanie. Uczniowie pozostali więc z tym, co słyszeli dotychczas. A co słyszeli? Ogólnie mówiąc, nie było tego wiele.

Prorocstwo Jezusa, prześladowania i zburzenie Jerozolimy

Gdy w czasie swojej ostatniej wizyty w Jerozolimie Jezus zapowiedział zburzenie świątyni, uczniowie zapytali go: „Powiedz nam, kiedy się to stanie i jaki będzie znak twego przyjścia i końca świata?” (Mt 24,3). W odpowiedzi Jezus wypowiada słowa, które są prorocstwem, ale ostatnie słowa są zaskakujące. Ewangelista Łukasz zapisał tak: „Tak i wy, gdy ujrzyecie, że to się dzieje, wiedźcie, iż blisko jest Królestwo Boże. Zaprawdę, powiadam wam: Nie przeminie to pokolenie, a wszystko to się stanie”. (Łk 21,31-32 por Mt 24,3). Naturalne więc było oczekiwanie zburzenia świątyni i ponownego przyjścia Mesjasza w perspektywie jednego pokolenia, czyli w przedziale 20-50 lat.

Tak narodziła się pierwsza „szkoła eschatologiczna”. Użyłem cudzysłowu, ponieważ w rzeczywistości było to po prostu

oczekiwanie na powrót Jezusa i spełnienia się Jego zapowiedzi. (Pamiętajmy, że nie było jeszcze wtedy księgi Objawienia. Pojawi się dopiero za kilkadziesiąt lat.) Ponieważ zaś było to oczekiwanie na wydarzenia, które nastąpią w przyszłości, takie podejście moglibyśmy nazwać **futuryzmem**. Musimy jednak podkreślić, że dla nich przyszłością było co innego niż dla nas. Dla nas odległość jednego pokolenia licząc od śmierci Jezusa nie jest przyszłością lecz historią. Gdy dzisiaj ktoś w dyskusji mówi, że pierwsi chrześcijanie byli futurystami, powinien dokładnie określić, co ma na myśli. Dla pierwszych chrześcijan myśl o tym, że Jezus powróci, ale dopiero za 2000 lat (jak rozumieliby to współcześni futuryści) była nawet nie do pomyślenia.

Istnieją hipotezy mówiące o tym, że księga Objawienia powstała ok. 95 roku za cesarza Domicjana, jednak świadectwa wskazujące na okres panowania Nerona w mojej ocenie wydają się bardziej przekonujące.

Oczekując rychłego nadejścia Królestwa Bożego i powtórnego przyjścia Jezusa pierwsi chrześcijanie oczekiwali nastania czasów pokoju i bezpieczeństwa pod przywództwem Mesjasza. Jednak zamiast idyllicznego życia, wielokrotnie się tylko represje. Do Żydów dołączył Neron, oskarżając chrześcijan o podpalenie Rzymu (r. 64). Podziało to jak iskra zapalna, która przyczyniła się do tego, że chrześcijanie w wielu miejscach Imperium Rzymskiego zaczęli być traktowani jak wrogowie rodzaju ludzkiego. Dlaczego tak się działo?

Czy obietnice zawiodły? Dlaczego zamiast Mesjasza władzę sprawuje Neron? Czy to w co uwierzyliśmy, to w ogóle prawda? Niemal w odpowiedzi na takie pytania, apostoł Jan otrzymuje wizję, która ma przynieść pocieszenie i natchnąć nadzieją. Powstaje najbardziej niezwykła księga Nowego Testamentu, Apokalipsa, która zaczyna się tak: „Objawienie Jezusa Chrystusa, które dał mu Bóg, aby ukazać sługom swoim to, co ma się stać wkrótce” (Obj 1,1). W roku 68 Neron umiera. W latach 68 i 70 mają miejsce wydarzenia, które są wypełnieniem prorocstwa Jezusa: „Gdyż przyjdą na ciebie dni, że twoi nieprzyjaciele usypią wał wokół ciebie i otoczą, i ścisną cię zewsząd. I zrównają cię z ziemią i dzieci twoje w murach twoich wytępią, i nie pozostawią z ciebie kamienia na kamieniu,

dlatego żeś nie poznało czasu nawiedzenia swego.” (Łk 19,43-44). A później dodaje: „Gdy zaś ujrzyecie Jerozolimę otoczoną przez wojska, wówczas wiedźcie, że przybliżyło się jej zburzenie. Wtedy mieszkańcy Judei niech uciekają w góry, a ci, którzy są w obrębie miasta, niech wyjdą z niego, a mieszkańcy wsi niech nie wchodzi do niego. Gdyż dni te, to dni odpłaty, aby się wypełniło wszystko, co jest napisane.” (Łk 21:20-22). Po zakończeniu pierwszego oblężenia Jerozolimy w 68 roku, zgodnie z tym ostrzeżeniem, chrześcijanie, jak

zaświadcza Euzebiusz, uciekli z Jerozolimy, tym samym ratując się przed kolejnym oblężeniem w roku 70, które zakończyło się prawdziwą rzezią. Miasto wraz ze świątynią zostało zburzone. Według Tacyty zginęło wtedy ok. 600 tysięcy osób, a Józef Flawiusz podaje, że w całej wojnie żydowskiej w latach 66-73, mogło zginąć nawet 1,2 miliona osób. Nad takimi wydarzeniami nie można było przejść do porządku dziennego. Tylko jak je rozumieć i co będzie dalej? Czy to był ten dzień Pana, na jaki mieli oczekiwać chrześcijanie? Jakie znaczenie ma fakt, że zniszczona została świątynia — serce religii żydowskiej? Czy wypełniło się już wszystko, o czym Jezus mówił? Czy teraz nastaną rządy Mesjasza? Czy teraz nastanie Królestwo Boże (Łk 21,31)?

Oczekiwanie na Millenium

Oczekiwanie rychłego nastania rządów Mesjasza, o którym mówiła księga Objawienia, było na tyle silne, że pogląd ten zyskał wielu zwolenników. Nazywany był wtedy **chiliazmem** (gr. chilioi - tysiąc). Dzisiaj nazwalibyśmy go **premillenializmem** (albo premillenizmem). Pogląd ten oznaczał wiarę w rychłe nastanie panowania Chrystusa na ziemi(!), które będzie trwało dosłownie tysiąc lat, a poprzedzi je wspaniały powrót Jezusa. Ireneusz (II w.) tłumaczył, że wprawdzie jednak pojawi się „pierwsze zwierzę” (Obj 13,1) które prześladować będzie Kościół (13,7). To jest ten, którego apostoł Paweł nazywa „człowiekiem niegodziwości” (2 Tes 2,3), a jego znamię jest liczba 666,

pochodząca od greckich liter w słowie Lateinos wskazującym na Imperium Rzymskie, które później zostanie podzielone na 10 królestw (Obj 17,12), po czym obróci się w pył. Wierzono, że gdy nastanie owe tysiącletnie królestwo odbudowana zostanie Jerozolima, a także świątynia. Ziemia zostanie odnowiona i zapanuje powszechny pokój. Będzie to czas obfitości i urodzaju, a zakończeniem tego okresu będzie sąd ostateczny. Przez pierwsze trzy wieki chiliazm (premillenializm) był dość popularny. Nie był jednak akceptowany przez wszystkich. Nie wszyscy też rozumieli go tak samo. Wielu w ogóle nie zgadzało się z nim uznając, że idea Królestwa trwającego dosłownie 1000 lat na ziemi jest żydowską nauką nie mającą biblijnych podstaw. Tak więc już na początku nie było zgody, co do tego, jak będą wyglądały czasy ostateczne. Ireneusz, który sam był premillenistą pisze do Tryfona: „Mówiłem ci już wcześniej, że ja i wielu innych uznajemy ten pogląd [chiliazm] i [wierzymy], że tak się stanie, o czym już wiesz. Z drugiej jednak strony wspominałem ci już, że wielu, którzy mają czystą i prawdziwą wiarę i są prawdziwymi Chrześcijanami, myślą inaczej.” Ci myślący inaczej to ludzie jak najbardziej wiarygodni nawet w oczach Ireneusza, pomimo że mieli w tej dziedzinie inne poglądy niż on. Nie możemy więc upraszczać mówiąc, że taki czy inny pogląd najlepiej reprezentuje przekonania pierwszego Kościoła. Tych poglądów już wtedy było kilka.

Dla pierwszego Kościoła wypełnienie się proroctwa Jezusa dotyczącego zburzenia Jerozolimy w roku 70-tym było oczywiste. Pytanie tylko, czy wypełniło się już wszystko? Księga Objawienia zapowiadała, że opisywane w niej wydarzenia będą miały miejsce wkrótce. Część autorytatywnych nauczycieli w Kościele uznała więc, że Jezus przyszedł wtedy tak, jak obiecał i teraz nastaną tysiącletnie rządy Chrystusa. Należało się więc spodziewać, że zwiastowana ewangelia stopniowo będzie ogarniała całą ziemię (jak w przypowieści o kwasie — Mt 13,33) aż wszędzie na ziemi zapanuje pokój. Uwieńczeniem tego będzie już tylko sąd ostateczny. Przyjście Jezusa w roku 70-tym (Mt 24,30) rozumieli oni podobnie, jak słowa Jezusa wypowiedziane do zboru w Efezie: „przyjdę do ciebie i ruszę świecznik twój z jego miejsca, jeśli się nie upamiętasz” (Obj 2,5 por. Obj 2,16). Takie podejście do proroctw uznające, że proroctwa zapowiedzi z księgi Daniela, proroctwo Jezusa, a także większa część księgi Objawienia, już się spełniły w roku 70, nazywane jest dzisiaj **preteryzmem** (od łac. praeter, przeszły, miniony). Faktycznie istnieje kilka jego odmian, mniej lub bardziej ewangelicznych. W swojej „radykalnej” formie sformułowany został dopiero w XVII wieku, ale o tym za chwilę.

Duchowa interpretacja

Problem, z którym zwolennicy tej interpretacji musieli się uporać, to ciągle powracające prześladowania. Skoro miał nastać czas millenium,

dlaczego ciągle Kościół jest prześladowany? Gdzie jest zapowiadany pokój i bezpieczeństwo? A może coś źle zrozumieliśmy? Z odpowiedzią przyszła metoda interpretacji proroctw, jaka pojawiła się w Aleksandrii (Egipt). Aleksandria była już wtedy silnym ośrodkiem myśli i nauki chrześcijańskiej. Tam była pierwsza szkoła katechetyczna (wg Hieronima założona jeszcze przez ewangelistę Marka). Początkowo szkoła ta była pod wpływem żydowsko-greckich zasad interpretacji nazywanych **alegoryzacją** (polegającą na tym, że w prostym tekście doszukiwano się „drugiego dna”, tj. jakiegoś ukrytego, „duchowego” znaczenia). W duchu tej metody, tłumacząc niektóre obrazy z Apokalipsy, mówiono, że np. ogony szarańczy to zły wpływ fałszywych nauczycieli; kamienie węgielne Nowego Jeruzalem, to nauka apostołska; siedem głów smoka, to siedem grzechów głównych, a 24 starców interpretowano jako symbol pojednania Żydów i Greków. Za pomocą takiej interpretacji nadawano „głębszy”, „duchowy” sens tekstom, z którymi nie potrafiono sobie poradzić (były zbyt trudne, albo w ich mniemaniu zbyt trywialne). Była to interpretacja pobożna, ale z tekstem niewiele mająca wspólnego.

W duchu tej szkoły należało uznać, że zapowiedzi nastania rządów Chrystusa są tylko przenośnią i nie należy ich rozumieć dosłownie. W ten sposób starano się rozwiązać

problem niespełnionych oczekiwań pierwszych chrześcijan. Musimy to jednak podkreślić, że w ten sposób niestety, porzucono też oczekiwania na historyczną realizację biblijnych zapowiedzi.

Interpretacja duchowo—historyczna

Ważna zmiana w tym podejściu nastąpiła nieco później dzięki Tykoniuszowi (IV w.) i Augustynowi z Hippony (IV/V w.), którzy również interpretowali księgę Objawienia w sposób symboliczny, ale dopuszczali możliwość historycznego wypełnienia tych proroctw. Ich zasługą było opracowanie zasad, którymi należało się kierować w ustalaniu znaczenia tekstu biblijnego, w tym też decydowaniu, czy tekst ma tylko znaczenie symboliczne czy również dosłowne. Augustyn i Tykoniusz nie szukali więc tylko moralnego znaczenia, ale również konkretnych wydarzeń i postaci historycznych. Tę metodę interpretacji proroctw biblijnych nazywamy **duchowo historyczną**, a w kwestii stosunku do millenium nazwana została **amillenizmem**. Tysiącletnie rządy Chrystusa są rozumiane symbolicznie, jako historyczny okres pomiędzy czasami apostołskimi i czasami końca. Ta metoda interpretacji w zasadzie zdominowała chrześcijański świat aż do czasów reformacji. Wraz z upływem czasu w kolejnych komentarzach pojawiało się coraz więcej odniesień do historycznych wydarzeń zapowiadanych w

księdze Objawienia. Babilon np. interpretowano ogólnie jako występujące przeciwko Kościołowi światowe siły, ale już siedmiu królów (17,9-10) interpretowano konkretnie jako siedem wcieleń tych światowych sił, z których szóstą był Rzym, a siódmą Konstantynopol. Stopniowo też pojawiało się coraz więcej prób patrzenia na poszczególne symbole z księgi Objawienia jako na reprezentację wydarzeń historii świata. Na przykład, pierwszych sześć pieczęci rozumiano jako opis czasów od Adama do zburzenia Jerozolimy, a sześć trąb oznaczało zwiastowanie Słowa od patriarchów do pierwszych męczenników chrześcijańskich.

Historia w symbolach (historycyzm)

Duchowo-historyczna metoda interpretacji stopniowo zmieniała się w interpretację historyczną. Była to próba interpretacji księgi Objawienia przy założeniu, że opisane w niej symbole przedstawiają w sposób chronologiczny historię ludzkości, albo historię Kościoła. Takie podejście nazywamy **historycyzmem**. Początki takiego sposobu interpretacji sięgają XII wieku. Co ciekawe, choć podejście to przedstawiało Kościół Katolicki z bardzo nieprzychylniej strony, to jednak wzbudziło ono duże zainteresowanie szczególnie wśród Franciszkanów w XIII i XIV wieku w Paryżu (a był to okres, kiedy na południu Francji Kościół Rzymski krwawo rozprawiał się z katarami i

Księga Objawienia była to jedyną księgą Nowego Testamentu, do której Jan Kalwin nie napisał komentarza.

waldensami - tzw. wojny albigeńskie). Pod postacią pierwszego zwierzęcia (13,12) i wielkiej wszeteczniczy (17,1) widziano obraz papieżstwa i Kościoła Katolickiego. W ten sam sposób patrzyli też na Kościół Rzymskokatolicki XVI-wieczni reformatorzy. Nic więc dziwnego, że w tym środowisku historycyzm przyjął się bardzo łatwo i szybko został rozpowszechniony, głównie dzięki komentarzom do Apokalipsy autorstwa Marcina Lutra. Luter w księdze Objawienia widział najważniejsze etapy historii Kościoła. Odczytywanie księgi Objawienia jako chronologicznego zapisu historii świata (bądź Kościoła) prowokowało do tego, by szukać sposobu ustalania dat nadchodzących wydarzeń, a szczególnie daty powtórnego przyjścia Jezusa. Aby móc dokonywać takich wyliczeń, stosowano zasadę „rok za dzień”, co polegało na interpretowaniu podawanych w prorocत्वach liczby dni jako liczby lat, np. 1260 dni traktowano jako 1260 lat (Obj 11,3; 12,6). Metoda ta jednak nie była stosowana konsekwentnie, ale jedynie tam, gdzie komentatorom wydawało się to odpowiednie, co samo przez się podważa jej wiarygodność. Najlepszym świadectwem jej zawodności są niezliczone próby ustalenia w ten sposób roku powtórnego przyjścia Jezusa. Zawsze ich rezultatem było tylko rozczarowanie. Uczciwie należy dodać, że próby określenia czasu powtórnego przyjścia Jezusa podejmowano nie tylko w tym środowisku. Również autorzy premillenialnego bestselera z roku

1995, pt. „Pozostawieni” (ang. „Left Behind”, Tima LaHaye i Jerry Jenkinsa), przy okazji komputerowych problemów z rokiem 2000, również dali się wciągnąć w takie spekulacje. Najsmutniejszym aspektem takich ambicji jest ośmieszanie i podważanie wiarygodności ewangelii w oczach świata. Pomimo dużej popularności historycyzmu w tamtym czasie, problem polega na tym, że ten sposób interpretacji w dużej mierze zawsze opierać się będzie na domysłach i wyobraźni interpretatora. Z tego powodu historycyzm oskarżany jest o pozostawienie czytelnika: „dryfującego po bezbrzeżnym oceanie domysłów i fantazji bez steru i kompasu”. Uczciwie trzeba przyznać, że podobne oskarżenia kierowane są pod adresem preterystów i futurystów. Ciekawostką jest to, że niektóre z tych interpretacji wydają się nadzwyczaj trafione, co zachęcało do kolejnych wyliczeń. Pod koniec XVII wieku Robert Fleming zaproszony na dwór Wilhelma III Orańskiego z wykładem na temat biblijnych prorocत्व, został zapytany, kiedy nastąpi upadek tymczasowej potęgi papieżstwa w Europie. W swojej odpowiedzi (opublikowanej w 1701 roku) Fleming wskazał na lata 1794 do 1848. Kilkadziesiąt lat później, jak podkreślają historyści, w 1794 nastąpił tzw. okres Wielkiego Terroru w czasie Rewolucji Francuskiej będący początkiem końca papieskiej władzy w Europie, a w 1848 papież został zmuszony do tymczasowego opuszczenia

Rzymu. Innymi ciekawymi wskazaniem było utożsamienie piątej pieczęci z powstaniem Mahometanizmu i szóstej z najazdem Turków. Z czasem historystyczne podejście do księgi Objawienia traciło na znaczeniu. Zwolennicy tego podejścia nie przypuszczali, że historia świata będzie trwała jeszcze tak długo.

Jezuicka propaganda

W reakcji na interpretację reformatorów, którzy papieżstwo nazywali „wielką wszetecznicą”, a urząd papieża antychrystem, opracowane zostały dwa inne sposoby patrzenia na tę księgę Objawienia, futurystyczny i preterystyczny. Elementy obydwu tych metod interpretacji księgi Objawienia pojawiały się już w pierwszych wiekach Kościoła, teraz jednak stały się częścią całego systemu interpretacji. **Futuryzm** zakładał, że wszystko, co jest treścią księgi objawienia dopiero się wydarzy w nieokreślonej odległej przyszłości. **Preteryzm** zaś przyjmował jako wstępne założenie, że wszystko to już dawno się wydarzyło. Obydwie metody opracowane zostały w środowisku jezuitów(!). Obydwie miały bronić reputacji Kościoła Rzymskiego. Obie starały się wykazywać, że wydarzenia opisane w Apokalipsie nie opisują Kościoła Katolickiego XVII wieku, w związku z czym papież nie może więc być antychrystem, a Kościół Katolicki wielką wszetecznicą.

Na dalszą część zapraszamy do kolejnego numeru gazetki.

Moja dumka

Jechać czy nie jechać? Oto jest pytanie...

W telewizji straszą wojną. I znowu dzieci... Jak nie własne, to cudze. Są wakacje. Nie chce mi się. Każdy ma prawo odpocząć, nawet ja. Za to jak nie pojadę, będę żałowała. Tyle rzeczy mnie ominie... Moja ukochana teściowa i szwagier dowiedzieli się, że planuję wyjazd na Ukrainę i tragizują. Co za pomysł? Tam jest wojna! A jak coś ci się stanie? Jesteś przecież matką trójki dzieci! Tłumaczę im spokojnie, że nic mi nie grozi. Jedziemy do zachodniej części Ukrainy, na Wołyń, około dwie godziny jazdy od polskiej granicy, tam nie ma żadnej wojny. A zresztą w domu też może mi się coś stać. Na przykład żyrandol spadnie mi na głowę albo poślizgnę się w wannie i wyrżnę potylicą o kran – perswaduję. Ten argument

zawsze działa. Separatyści są wszędzie – straszy mnie szwagier. Zastanawiam się, czy ma na myśli moją łazienkę. I na pewno właśnie mnie ustrzelą albo porwą, zbierają na okup – żartuję. Ale szwagrowi wcale nie do śmiechu. Przemyśl to jeszcze – naciska. Jadę. Klamka zapadła. Koniec filozofowania. Trzeba się brać do roboty. Muszę przygotować pięć lekcji biblijnych. Przemyśleć i treść, i formę – rozpiętość wieku dzieciaków 5-15 lat! A odpocznę po śmierci. Chociaż... Czy tam też będą dzieci?

Szczęśliwej drogi, już czas

Wyjeżdżamy w sobotę o czwartej rano. Humor mam wisielczy. Taszczę sama walizę ze schodów. Nie chciałam budzić Mirka, a teraz pewnie obudzę cały budynek, tłukąc tym ustrojstwem

o poręcze. Na dworze słyszę wołanie – mój kochany mąż, w stroju nocnym, stoi na balkonie. Po chwili jest na dole. A jednak nie wyjadę bez pożegnania.

Jedziemy w cztery samochody, wypchane po brzegi materiałami niezbędnymi na zajęcia z dziećmi. Około 20 osób. W naszym aucie same kobiety, łącznie z kierowcą. Na granicy jest znośnie, choć celnik wypytuje, co mamy w pudłach. Ot, ciekawski! Pewnie papierosków się spodziewał, a tu kleje i wycinanki.

Wieczorem jesteśmy na miejscu. Wieś Roznyczi tonie w mroku, więc nie mogę podziwiać widoków. Wsiadamy na dziedzińcu wybrukowanym kostką szwedzką. I po co brałam gumowce? Przecież miało być błoto. Teren należy do tutejszego zboru baptystów. Witają nas niewysoki, szczupły, uśmiechnięty człowiek – pastor Piotr. Miły, bezpośredni, swojski. Rozumie po polsku. Ja też go rozumiem – wplata polskie słowa, gdy się do nas zwraca.

Kwaterują nas w mniejszym z dwóch budynków, które stoją na placu otoczonym płotem. Większy to kaplica, w mniejszym na górze są sale szkoły niedzielnej, zamienione teraz na pokoje gościnne, a na dole nieduża kuchnia i jadalnia. Wszystko do naszej dyspozycji. Marzę o łóżku i

Nasza grupa – wspólna fotka w Lublinie



Wspomnienia z UKRAINY

prysznicu. Niekoniecznie w tej kolejności. Prysznice są. Całe dwa. Lepszy rydz niż nic, pocieszam się w myślach. Łóżek nie ma, same materace, ale wygodne.

Jak dobrze być razem w



społeczności tu dziś

Niedziela – nasz pierwszy dzień na Ukrainie. Wspólne śniadanie i nabożeństwo. Oprócz nas gości tu kilkunastoosobowa grupa Holendrów. Ponoć pomagają przy sianokosach i opiekują się niepełnosprawnymi. Jakoś mnie w gardle ściska. Lideruje im młoda, wierząca dziewczyna, Elena, która rok mieszkała tu we wsi, w małym mieszkanku należącym do zboru, a teraz zaprosiła na Ukrainę innych młodych Holendrów. Kaplica, z zewnątrz ozdobiona półokrągłymi zwieńczeniami, jakby lekko nawiązującymi do

wschodniej architektury, w środku ma układ znany mi z filmów amerykańskich – chór siedzi za plecami pastora prowadzącego nabożeństwo, przodem do zgromadzonych wiernych. Śpiewają ładnie, na

głosy, przy akompaniamencie akordeonu. Robi się jakoś słowiańsko w tym amerykańskim wnętrzu.

Zbór ma około 150 członków. Służba pastora Piotra sięga poza granice wsi Roznyczi, która liczy około 700 mieszkańców, z czego około 30 osób to baptyści, a reszta prawosławni. Inni członkowie tutejszego zboru mieszkają w sąsiednich wsiach. Jestem ciekawa, jak są traktowani przez prawosławną większość, więc rozpytuję, gdzie się da. Od Olgi dowiaduję się, że

jest różnie – od szczerej sympatii, a nawet przyjaźni, poprzez obojętność, po dystans i rezerwę. Ale nie ma otwartej wrogości. Wielu prawosławnych przysłała dzieci na nasze półkolonie. Ktoś inny mówi mi, że pastor Piotr cieszy się szacunkiem wśród miejscowych, bo gdy śpieszy komuś z pomocą, to nie dzieli sąsiadów na baptystów i prawosławnych. Z poprzednim batiuszką nawet się przyjaźnił. Nowy batiuszka był z początku mocno uprzedzony, ale ludzie z cerkwi zmienili jego nastawienie. Pastor wita nas i Holendrów. Wyraża radość, że jest tak międzynarodowo i nagle mówi: Rosjan też byśmy przyjęli, prawda? Głos mu drży. Zaczynam zauważać, że Rosjanie są tu problemem. Ukraińcy opowiadają o nich złośliwe dowcipy. Na razie do tego sprowadza się wojna w tej części Ukrainy i oby gorzej nie było. Już po kazaniu nawet pastor pozwala sobie na niewinny żarcik. Komentuje fakt, że tu na ziemi wierzący z różnych krajów potrzebują tłumaczy, żeby się zrozumieć, ale w niebie będziemy mówili w jednym języku. I raczej nie będzie to język rosyjski – dodaje. Śmiech. Kazanie jest o pasterzu i owczarni. Rozumiem piąte przez dziesiąte, choć ukraiński jest bardziej podobny do polskiego niż

rosyjski. Poza tym cały czas łkam, bo strasznie chce mi się płakać. Jest mi wstyd, ale nie mogę się powstrzymać. W dodatku jak zwykle nie mam chusteczki. Kompletnie nie rozumiem, co mnie tak wzrusza. Może poczucie jedności z tymi ludźmi, których widzę pierwszy raz na oczy. Modlę się z nimi. Na prośbę pastora usługujemy trzema pieśniami, do czego przygotowaliśmy się w ostatniej chwili, co, niestety, słysząc. Jak to dobrze, że Bóg patrzy na serce...

Hej-ha, hej-ho, do pracy, by się szło

Schemat półkolonii, które organizujemy dla tutejszych dzieci, na szczęście dobrze znamy i wiemy, że się sprawdza – od wielu lat takie spotkania są organizowane w Gdańsku (VBS). Równolegle odbywają się zajęcia sportowe, prace ręczne, lekcja angielskiego, śpiew i lekcja biblijna dla 5 różnych grup dzieci. Po 40 minutach następuje przesunięcie – grupy zmieniają stanowiska. W ten sposób każda z grup może w ciągu jednego dnia uczestniczyć we wszystkich proponowanych formach aktywności. Dla osoby prowadzącej oznacza to, że musi odbyć w ciągu jednego przedpołudnia 5 czterdziestominutowych zajęć z różnymi grupami dzieci. Jestem odpowiedzialna za lekcje biblijne, co drugi dzień zменя mnie Ela, a ja zastąpię ją przy robótkach ręcznych, które prowadzi razem z Dorotą, bo się

boję, że jak będę miała wszystkie zajęcia „gadane”, to znów wysiadzie mi krtań. Zaplanowałyśmy cykl lekcji o tematyce misyjnej, opowiemy dzieciom historie wybranych postaci z Biblii: Pawła, Tymoteusza, Filipa, a także kilkorga współczesnych misjonarzy. Najważniejsze, by skupić się na Dobrej Nowinie – każdy z tych bohaterów spotkał na swojej drodze Chrystusa, a On przemienił jego życie i uczynił swoim uczniem. Wskazać na Chrystusa jako na jedyne

To najbardziej wymagający odbiorcy. Potrzebują metod i form dostosowanych do swego etapu rozwoju. Jeśli coś im się nie podoba, natychmiast to okazują. Jeśli ich nie zaciekawię, wyjdą albo... wejdą mi na głowę. Przygniata mnie ciężar odpowiedzialności. Bardzo szanuję dzieci, nigdy ich nie lekceważę. Nie ma dzieci, są mali ludzie (Janusz Korczak). Jestem zdania, że w pracy z nimi powinny obowiązywać najwyższe standardy.



Iwanka, która ma jeszcze pięciu braci

rozwiązanie problemu grzechu i jedyną drogę do Ojca – to najistotniejszy element każdej lekcji i tego nie wolno mi zgubić, niezależnie od formy, jaką przybiorą zajęcia. Boję się. Mam ogromną tremę, chociaż 20 lat pracuję z dziećmi.

Do tego dochodzi bariera językowa. Na szczęście okazuje się, że mamy świetną tłumaczkę. Olga to najstarsza córka pastora Piotra (który ma dziewięć dzieci). Mówi biegle po angielsku, bardzo dobrze też rozumie po polsku – łapie w lot każdą moją

myśl i tłumaczy na ukraiński. W dodatku na co dzień pracuje jako nauczycielka w miejscowej szkole, uczy dwóch przedmiotów: literatury i języka angielskiego, zna te dzieciaki i potrafi właściwie reagować na ich zachowanie. Bardzo mi to pomaga. Co rano mamy krótkie rozważanie i modlitwę. Na pierwszym takim spotkaniu Jeff mówi, że gdy ten tydzień dobiegnie końca, na pewno będziemy bardzo zmęczeni, a ja czuję, że już jestem bardzo zmęczona, a nawet się jeszcze nic nie zaczęło... Modlę się gorąco o siły, zapał i dobre pomysły. Boże, zechciej mnie użyć. Mimo wszystko. Gdzieś w głębi duszy tak bardzo pragnę uczestniczyć w Twoim dziele. Marzę o bliskości i jedności z Tobą. Odnów mnie i uczyni użyteczną. Oddaję się cała do Twojej dyspozycji i niech przez moją niedoskonałość objawi się Twoja moc.

Żeby tylko nie zgubić brata



Bo wszystkie dzieci nasze są

Widzę je, jak zbierają się na placu. Darinka, Witalinka, Nastusia, Tania, Ilia, Saszka, Katia, Iwanka, Wład... Mam nagły przypływ energii. Staję przed grupą, otwieram usta i wtedy czuję, że jestem na swoim miejscu. Wszystko zaczyna grać. Dzieci są takie same jak wszędzie. Podatne na

szczerze zazdrość. Zwłaszcza, że moja już chyba powoli zaczyna szwankować.

Miało być 70, tymczasem pierwszego i drugiego dnia przychodzi około 90, trzeciego ponad 120 dzieciaków, a potem przestaję liczyć... Pastor dowozi je swoim samochodem z okolicznych wsi. O rany, a mówi się, że od przybytku głowa nie boli. Z jednej strony się cieszymy, z drugiej



Przyjechali goście, trzeba się wystroić...

kształtowanie, często mądrzejsze niż myślimy, ciekawskie, łase na upominki i nagrody, ale też szybko się nudzą i zniechęcają. Swoją drogą, to niesamowite, ile można zdziałać dzięki zwykłym naklejkom, które rozdajemy w zamian za aktywny udział w zajęciach i pamięciowe opanowanie wersetów. Te małe łobuzy wszystko robią, żeby dostać nagrodę. Wersety łapią w mig. Pamięci to dzieciakom

martwimy, że nie podołamy. Grupy będą liczniejsze niż zaplanowaliśmy. Lekcje biblijne odbywają się w kaplicy, robótki ręczne i nauka piosenek na dworze przed budynkiem, a zajęcia sportowe i angielski na boisku tutejszej szkoły. Trzeba przejść kawałek przez wieś, dlatego ktoś musi biegać między szkołą a budynkami zborowymi, żeby przyprowadzać i odprowadzać grupy. Najczęściej

Ziemniaków starczy dla wszystkich



jest to Jeff, czasem Lila. Nasze dzielne nastolatki Matilda, Liwka, Zosia uczą piosenek. Tomek, Jonatan, Daniel i Adrian prowadzą na szkolnym boisku gry i zabawy ruchowe, Magda, Beata i Iga (moja koleżanka z pracy) uczą angielskiego. Gdy my pracujemy z dziećmi, Basia, Kasia i Lila robią dla nas obiad. Pięć razy dziennie powtarzam to samo. Mija 40 minut, łyk wody,

następna grupa, łyk wody, następna grupa, łyk wody... Najtrudniej jest, gdy po nastolatkach przychodzą cztero-, pięcioletki. Trzeba natychmiast się przestroić i kombinować z formami pracy. Łatwiej pracuje mi się ze starszymi. Te najmniejsze wolę przytulać niż uczyć. Tęsknię za córkami. Niektóre dziewczynki tak bardzo mi je przypominają. Z Misią

rozstałam się pierwszy raz na tak długo.

Korzystamy z dużej mapy świata. Podoba im się. Chętnie pokazują na niej miejsca, o których rozmawiamy. Patrzą na kontury Polski i Ukrainy. Mówię im, że jesteśmy bliskimi sąsiadami, podkreślam uprzejmie, że Ukraina jest większa. Puchną z dumy, zwłaszcza chłopcy. Ale Rosja jest największa – mówią, wskazując na dużą plamę na mapie. Wszystko to stworzył Bóg, ale potem... – od tego zaczynamy.

Pastor Piotr krąży między nami, przygląda się i przysłuchuje. Jest gotów do pomocy. Któregoś razu wchodzi do kaplicy właśnie w chwili, gdy opowiadam Dobrą Nowinę. To chyba moja trzecia albo czwarta lekcja tego dnia. Jestem już bardzo wyczerpana. W sali dość liczna grupa nastolatków. Słuchają w skupieniu. Pastor siada z tyłu. Uśmiecha się do mnie. Potem zamyka oczy. Chyba się modli. Mam takie jasne myśli, a słowa same cisną się na usta. Boże, dziękuję Ci, że mogę tego doświadczać.

Lekcja biblijna w kaplicy. Obok mnie Olga – nasza tłumaczka



Wsi spokojna, wsi wesola

Co rano budzi mnie pianie kogutów, czasem bardzo wcześnie, wtedy siadam i gapię się w okno, które jest tuż nad moim materacem, nisko przy podłodze. Przede mną pole i niewielka stodoła. Teren bardzo płaski. Któregoś ranka widzę chłopca – orze niewielki pas ziemi. Chodzi za pługiem, ciągniętym przez konia. Tam i z powrotem.



Cerkiew prawosławna w Roznyczi

Trwa to dwie godziny, od 5 do 7 rano. Co jakiś czas przejedzie drewniany wóz. Jakbym cofnęła się w czasie.

Popołudnia mamy wolne.

Chodzimy na długie spacery.

Podczas pierwszego z nich trafiam na cmentarz. Uwielbiam cmentarze. Wysoka trawa w starszej części świadczy o tym, że prawie nikt tu nie przychodzi. Spora grupa prawosławnych krzyży wieńczy mogiły z czasów drugiej wojny światowej. Krzyże, podobnie jak framugi okien i drzwi tutejszych domów, maluje się na niebiesko. Nawet miejscowa cerkiew prawosławna jest cała niebieska. Ponoć ten kolor odstrasza owady. Groby zdobi się sztucznymi kwiatami i kolorowymi wstążkami, dlatego na krzyżach i pomnikach powiewają pomarańczowe i fioletowe skrawki materiału. Na jednym z nagrobków znajduję sztukę. Czyżby stary słowiański zwyczaj spożywania posiłków na grobach bliskich wciąż był tu żywy?

We wsi przeważają białe drewniane chaty z niebieskimi drzwiami i oknami. Zaledwie kilka domów to nowocześniejsze, murowane budynki. Tu i ówdzie sterczy antena satelitarna. W niektórych chatkach mają komputery i dostęp do internetu, jak wynika z tego, co opowiadają nam dzieci. Mijając stare opłotki, zastanawiamy się z koleżanką, czy na którejś z tych sztachet jakiś banderowiec roztrzaskał



Groby z czasów II wojny światowej na cmentarzu w Roznyczi

kiedyś główkę polskiego dziecka... Przecież to miejsce słynnej rzezi wołyńskiej. Boimy się o to pytać. Temat tabu. Kiedyś nas tu nie tolerowano, teraz wzbudzamy sympatię. Mieszkańcy wsi miło reagują, gdy słyszą, że rozmawiamy po polsku. Niektórzy nas zaczepiają i wylewnie wyrażają swoją miłość do Polski i Polaków, tym wylewniej, im więcej promili mają we krwi. Alkoholizm jest tu ogromnym problemem, podobnie jak u nas zresztą. W przewodniku Pascala czytam, że już w średniowieczu podróżnicy odnotowywali w swych dziennikach, iż charakterystyczną cechą ludności zamieszkującej te tereny jest zamiłowanie mężczyzn do mocnych trunków, a kobiet do ozdób.

Od głodu, ognia i wojny zachowaj ich Panie

Nocami słychać strzały. Zaczynają się mniej więcej o północy. Czasem je liczę, a potem

Domy mieszkalne w Roznyczi



zasypiam. Pytamy pastora, co to za odgłosy. Mówi, że rezerwa ćwiczy. Mają nocne manewry. Na razie wcielają do armii i wysyłają na wschód Ukrainy ochotników, ale grozi im mobilizacja powszechna – powołają wtedy wszystkich mężczyzn między 19 i 60 rokiem życia. Podczas wycieczki do Łutska (jedno z większych miast w tym regionie, ponad 250 tys. mieszkańców) część naszej grupy spotyka kobiety kwestujące na rzecz armii ukraińskiej. Ela wspiera je drobną sumką i dostaje małą flagę Ukrainy. Wtykamy ją sobie w samochód, na znak sympatii do Ukraińców. Nastrój jakiegoś

zjednoczenia tego narodu w obliczu zagrożenia chyba udziela się i nam. Gdy w niedzielne, upalne popołudnie snuję się nad rzeką płynącą przez Roznyczi, słyszę jak ludzie piknikujący na brzegu pozdrawiają się nawzajem słowami: Sława Ukrainie! Olga umożliwia nam zwiedzenie tutejszej szkoły. Nie posiadam się z radości. Szkoła jak ze starego elementarza Falskiego. Mam ciarki na plecach. Drewniane podłogi malowane na olejno, wielkie białe piece z paleniskami od strony korytarza, stare ławki i szafy, oczywiście niebieskie drzwi i okna. Przy biurkach nauczycielskich stoją liczydła, ale

jest też pracownia komputerowa wyposażona w nowoczesne komputery. Na ścianach wiszą tablice z prawami dziecka. W gabinecie historycznym poczet hetmanów ukraińskich. W centralnym miejscu nad tablicą portrety czołowych ukraińskich poetów: Tarasa Szewczenki i Łesi Ukrainki (pseudonim Łarysy Kosacz-Kwitki). Język ukraiński i literatura ukraińska to dwa oddzielne przedmioty. Osobno uczy się też literatury obcej. Rosyjski jest tylko dla chętnych, jako język obcy, za to wszyscy uczą się angielskiego obowiązkowo od klasy czwartej, a jeśli dyrektor dobrze rozdysponuje godziny, to nawet od pierwszej. Tak właśnie jest tutaj, w Roznyczi. Tutejszy system edukacji bardzo przypomina nasz polski. To najlepiej dowodzi tego, jak bardzo zachodnia Ukraina oddaliła się od Rosji.

Na boisku szkolnym studnia. Pierwszy raz w życiu wyciągam wodę ze studni. U nas by to nie przeszło – jest niezabezpieczona, otwarta i bardzo głęboka, więc zagraża bezpieczeństwu dzieci, chociaż tu jakoś nikt do niej nie

Portrety hetmanów ukraińskich w gabinecie historycznym w szkole w Roznyczi



wpada. Olga twierdzi, że w tutejszych szkołach też są ogromne problemy z dyscypliną. Uczeń ma mnóstwo praw, a nauczycielom niewiele wolno, ich autorytet w ostatnim czasie bardzo się obniżył. To przejaw nierozsądnego korzystania z wolności – komentuje pastor Piotr, gdy z nim o tym rozmawiam. – Ludzie doświadczyli tu prawdziwego reżimu za sowietów. Teraz zachłysłni się wolnością. Wierzę, że z Zachodu przychodzi do nas wiele dobrego, na przykład wolność religijna. Jeszcze niedawno nie wolno nam było się gromadzić ani nawet posiadać Biblii. Zawsze jednak najszybciej wyrastają chwasty, o to by wyrosły szlachetne rośliny, trzeba zabiegać.

Płonie ognisko i szumią knieje

Idziemy na grupę domową do babci Marijki, jak czule nazywa ją syn pastora. Biała drewniana chata ma ponad 60 lat. W środku trzy izby, w centralnej wielki piec z prawdziwym zapiekiem, na którym można spać w mroźne noce. Gromadzimy się w pokoju wyłożonym ręcznie wyplatany dywanikami. Czysto, sucho, żadnego robactwa. Niebieskie framugi działają, myślę sobie. Normalnie skansen! Tylko, że babcia Marijka, pogodna, szczuplutka staruszka po dziewięćdziesiątce naprawdę tu mieszka. Oprócz niej jest jeszcze kilka starszych kobiet. Syn pastora prowadzi niedługie studium. Potem razem śpiewamy.

Prosimy je, aby zaśpiewały coś na ukraińską nutę. Najpierw się wzbraniają, aż nagle jedna z nich zrywa się na równe nogi i, oparłszy ręce na biodrach, zaczyna pieśń, coś o Świętej Księdze. Śpiewa tak, że chata drży w posadach. Normalnie mnie zatyka. Boję się, że strop spadnie nam na głowę. Nie słyszę ani jednego nieczystego dźwięku. Śpiewa i śpiewa, chyba z dziesięć zwrotek. Wszystkie z pamięci. Inna kobieta zaprasza nas na maliny. Myślimy, że mamy pomóc w zrywaniu. Cała spryskuję się

wnuczki krzątające się po kuchni to już czwarte pokolenie. Starsza z nich, Oksana, pomaga nam na półkoloniach. Wracamy po ciemku do zboru obżarte jak bąki, z miłą malin. W drodze łapie nas burza. Biegniemy. Drogę przecinają nam krowy gnane z pastwiska. Nie wiedziałam, że krowy potrafią tak szybko biegać. Pewnie dlatego, że są wydojone. Głośno ryczą. Może boją się burzy?

We wsi jest dużo samotnych kobiet. Część z nich to wdowy (Boże, dlaczego zwykle żyjemy



W gościnie u siostr ze zboru w Roznyczi

offem, żeby mnie w krzakach komary nie pocięły. Docieramy na miejsce. Zapraszają nas do domu. Stół się ugina pod ciężarem jadła: miska malin i jeżyn, już zerwanych, ciasto, naleśniki i śmietana świeżo zebrana z mleka z wieczornego udoju. A my po kolacji... Magda mnie poucza, że mam jeść, bo na Wschodzie się nie odmawia. Nasza gospodyni mówi po ukraińsku swoje świadectwo. Należy do drugiego pokolenia ewangelicznie wierzących chrześcijan w swojej rodzinie. Jej

dłużej, skoro jesteśmy słabsze? Mam jeszcze parę innych pytań z tej dziedziny...), niektóre młodsze zostały porzucone. Mężowie wyjechali do miasta na zarobek i już nie wrócili. Wiele z tych kobiet urodziło i wychowuje kilkoro albo nawet kilkanaścioro dzieci. Pastor mówi o nich z wielkim szacunkiem i troską. Mam wrażenie, że zapewnienie im opału na zimę traktuje jak swój prywatny problem. Sądząc po ilości grup domowych, dba też o strawę duchową w swoim stadku. Ktoś mi opowiada, że nawet



Pastor z żoną Galiną

niektóre prawosławne kobiety przechowują u niego wypłaty, żeby mężowie wszystkiego naraz nie przepili.

Pożegnalne ognisko u miejscowego rzeźnika. Też jest członkiem zboru. Należy chyba do bogatszych mieszkańców tej miejscowości. Nad jego posesją świeci jedyna działająca latarnia we wsi. Załatwił to sobie z elektrownią. Ma duży, rozbudowany dom z wszelkimi wygodami. Siadamy w ogrodzie wokół ogniska. Jemy pieczone ziemniaki i... soloną słoninę pieczoną na ognisku zamiast kiełbas. Pycha – smakuje jak skwarki z patelni. Świniak był bez konserwantów. I żadnych soków z kartonu czy coca-coli. Do popicia kompot, który ugotowała żona naszego gospodarza. A potem śpiew po ukraińsku i po rosyjsku. Pastor gra na białej.

Z Bogiem bądźcie, aż się zejdzie znow

W drogę powrotną wyruszamy także o 4 rano. Około szóstej

jesteśmy przy przejściu granicznym. Kolejka. Grzecznie ustawiamy nasze auta na końcu ogonka. Jeszcze nie wiemy, że spędzimy tu najbliższe 11 godzin i poznamy drugą stronę słowiańskiej duszy, tę mroczniejszą. Skorumpowana straż graniczna przepuszcza bez kolejki tych, co zapłacą. Ukraińcy stojący przed nami wpuszczają przed siebie swoich rodaków.

Ciekawe, ile można w ten sposób zarobić? W dodatku, gdy tak kwitniemy w tej kolejce już którąś godzinę, jakiś koleś z kasą fiskalną bezczelnie pobiera od nas opłatę klimatyczną! Kompletne bezhołowie.

Wyciągamy flagę ukraińską z naszego samochodu.

Wreszcie jakiś młody Ukrainiec, którego nazywam w myślach Dzielnym Kozakiem, staje na przedzie kolejki i zaczyna blokować auta próbujące się wypchać bez kolejki. Wspiera go matka i narzeczona. Strażnik nakłania go, by wrócił do samochodu, ale Dzielny Kozak wykrzykuje strażnikowi prosto w oczy, że nie wróci, bo mu nie ufa. Szacunku do własnej władzy to oni szybko nie nabędą. Lila, Iga i ja postanawiamy stanąć u boku Dzielnego Kozaka i wraz z nim zagrządzamy drogę bezczelnym kierowcom. Bezradny strażnik wciąż udaje, że ma wpływ na sytuację. Nikt go nie słucha,

choć na jego ramieniu wisi wielki kałasznikow. A co jeśli straci cierpliwość i zacznie z niego strzelać? Jakiś rozwścieczony cwaniak, któremu nie pozwalam przejechać, robi mi zdjęcia komórką. Albo udaje, żeby mnie przestraszyć. Gdyby mój szwagier mnie teraz widział... Kolejka zaczyna się nieco szybciej posuwać.

Po kilkunastu godzinach czekania i interwencji Artura, który zadzwonił do polskiej straży powiadomiony przez Dorotę, strażnik wypisuje nam jakieś kwity i pozwala przejechać bez kolejki. Z jednej strony czuję ulgę, z drugiej trochę mi głupio. Jeszcze przed chwilą jak prawdziwy ułan walczyłam u boku Dzielnego Kozaka o prawo i sprawiedliwość na przejściu w Dorohusku. Szłam z bagnetem na czołgi żelazne... a teraz sama korzystam z przywilejów. Przekraczamy Bug. Wrota Europy? Nasz kierowca Dorotka oka nie zmrużyła od 4 rano, bo musiała podjeżdżać w tej kolejce, a teraz jeszcze musi nas dowieźć do Gdańska. Da to w sumie ponad 20 godzin za kierownicą bez zmiennika i bez drzemki. Ale co to dla niej.

Wioletta Uszkiewicz

Sznur samochodów na przejściu granicznym w Dorohusku



Gazeta Zborowa: W jaki sposób Bóg powołał Was do Siebie?

Łukasz: Na pewnym etapie mojego życia zacząłem intensywnie szukać Boga, bo stwierdziłem, że sam swoich problemów nie rozwiążę. Tak mi się zagmatwało życie i tak je pokomplikowałem, że doszedłem do przekonania, że jedyną drogą jest ratunek w Bogu. To nie znaczy, że nigdy wcześniej nie miałem z Nim nic wspólnego. Mój Tata czytał mi

ilustrowaną Biblię dla dzieci, gdy byłem małym chłopcem. Do tej pory mam ten egzemplarz i pamiętam opowieści Taty, który starał się, żebym znał Jezusa. Chociaż wydawało mi się, że mam więź z Jezusem, tak naprawdę go nie znałem. Chcąc oddać Mu cześć, wytatuowałem sobie serce Jezusowe na przedramieniu. W tamtym okresie, na ile znałem Boga i rozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi, wydawało mi się to słuszne.

Dzisiaj już wiem, że chwale Bogu mogę oddać zdecydowanie lepiej, ponieważ dzisiaj moja więź z Nim jest znacznie głębsza. Zanim podjąłem decyzję, że chcę szukać ratunku w Bogu, próbowałem żyć po swojemu. Niestety, nic dobrego z tego nie wyszło. Nasze małżeństwo było na skraju rozpadu, a ja miałem wrażenie, że opętały mnie demony. Bałem się tak bardzo, że zasypiałem, trzymając w rękach krzyż. Pokładałem ufność w Jezusie, że

RADYKALNA

ZMIANA

Joanna i Łukasz Gąsiorowscy



On może mnie uratować przed złem i faktycznie to mi pomagało. Jako człowiek byłem w rozsypce. Wtedy zrozumiałem, że sam sobie nie dam rady i zacząłem szukać Boga. Bóg daje wspaniałą obietnicę, że ten, kto Go szuka, znajdzie Go. Pewnego dnia przejeżdżałem koło naszego kościoła. Moją uwagę zwrócił krzyż. Przeczytałem, że jest to Kościół Chrześcijan Baptystów. Pomyślałem, że muszę dowiedzieć się czegoś o tym kościele, bo go nie znam. Zacząłem czytać i to, co znalazłem wydawało mi się prawdą. Ta sama prawda w kościele, w którym byłem wcześniej, była zamazana i to co tam mi nie pasowało, teraz zaczęło się układać. Podjąłem decyzję, że chcę tam pójść. Pewnego dnia powiedziałem do Asi: Jedziemy do tego kościoła. Tak się złożyło, że był to ostatni dzień ewangelizacji pastora Skrzypkowskiego.

Jest to początkowy fragment wywiadu, który omyłkowo źle wydrukowaliśmy w poprzednim numerze gazety.

Jeszcze raz serdecznie
przepraszamy
Redakcja

Redakcja: Opowiedzcie nam o tym jak się poznaliście. Jak to się stało, że się pobraliście? Ile już lat jesteście po ślubie?

Basia: Zabrakło palców.

Andrzej: 31.

Redakcja: 31 lat? I jak to było?

Andrzej: Poznaliśmy się w szpitalu. Ja byłem pacjentem, a Basia pielęgniarką.

Redakcja: To co w takim razie Was połączyło?

Andrzej: Byłem już taki desperat...

Basia: Ja na Andrzeja reagowałam bardzo źle. On mnie po prostu denerwował, jego spokój wewnętrzny, to, że był taki schorowany, a nie był taki marudny jak inni pacjenci. Mnie to po prostu irytowało. Złościłam

sumie fajny facet. Nie wiem dlaczego pałałam do niego taką niechęcią".

Andrzej: I tak małymi kroczkami poszło.

Basia: Później pojechałam do Słupska, gdzie Andrzej miał operację. Tam go odwiedzałam, a on mi mówił o Bogu. Pokazywał mi Pismo Święte, ale ja sobie tak machałam ręką. I mówiłam: Ty

Spotkanie pielęgniarki z niedoszłym zakonnikiem

Basia i Andrzej Kos

Redakcja: Byliście wtedy wierzący?

Andrzej: Ja tak, Basia nie. Byłem ciężko chory. Dłuższy czas, bo ponad miesiąc, leżałem w Szpitalu Kolejowym. Basia była tam pielęgniarką i akurat dyżur zastępczy miała. Do mnie przychodziło wtedy dużo gości.

Basia: Z kaplicy oczywiście. Jak stali pod oknem i krzyczeli "Kos", to się wychyliłam i zapytałam "Co za hołota się tam wydziera?"

Andrzej: Janusz Sierla, Darek Wiśniewski.

Basia: A potem z tą "hołotą", w cudzysłowie oczywiście, spotkałam się w zborze. Ale mam nadzieję, że nie skojarzyli (śmiech). Jeśli nawet to po prostu jako wierzący to wybaczyli.

się na niego. Nawet w czasie zastrzyków, tych bardzo bolesnych, wychodziła ze mnie złośliwość.

Andrzej: Ja tego nie zauważyłem.

Basia: Ty nie musiałeś tego widzieć, bo ja się z tym dobrze kryłam.

Andrzej: Gdy przychodzili do mnie goście, to się wymeldowywałem. Wszyscy wtedy już mnie znali. Przez miesiąc byłem już zadomowiony.

I gdy mówiłem Basi, że się wymeldowuję, usłyszałem: "Ale ja pana nie znam."

Basia: Potem miałam akurat dyżur nocny. Koleżanka poszła już spać. Czuwałam na oddziale. Andrzej przyszedł do mnie do dyżurki i zaczęliśmy rozmawiać. I myślałam sobie: "No taki w

sobie chodź do swojego kościoła, a ja do swojego. Ale tak jakoś po wyjściu Andrzeja ze szpitala, we wrześniu, przyznam się, tak z babskiej ciekawości, skorzystałam z zaproszenia Andrzeja i poszłam do kościoła. Wtedy był wyświetlany film Ewangelia wg Łukasza, życie Jezusa Chrystusa. Przeżyłam to. Myślę, że w tym momencie nastąpiło moje nawrócenie.

Redakcja: Basia opowiedziałaś nam jak to było z Twoim nawróceniem. A jak to było u Ciebie Andrzej? Kiedy trafiłeś do zboru?

Andrzej: To był właściwie proces rozłożony na lata. Zawsze interesowałem się Ewangelią ale była ciężka do zdobycia. Nigdzie nie było. Trochę jako ministrant

się tym interesowałem.

Zapisałem się do seminarium, ale to wszystko było nie to. Dopiero w wojsku poznałem człowieka, który czytał Biblię. Przypadkowo zaczął ze mną rozmawiać. I tak na pytania, które miałem, dopiero Biblia umiała mi odpowiedzieć. Wcześniej widziałem przedstawienie na podstawie Joba. Pożyczyłem od

już naturalnie dostałem adres do zboru w Gdańsku do Igora Barny. Redakcja: Cofnijmy się jeszcze trochę w czasie. Czy jest coś co wspominacie z nostalgią z okresu dzieciństwa? Osoby, słowa lub wydarzenia, które zapadły Wam w pamięci?

Basia: Pochodzę z Gdańska. Moja babcia była gorliwą katoliczką, natomiast rodzice niekoniecznie.

różnicy.

Andrzej: Ja też pochodzę z Gdańska, z rodziny katolickiej. Mam dwóch braci i siostrę. Takie biedne było życie kiedyś i proste. Może beztroska i nieświadomość tego co czeka jeszcze w przyszłości.

Basia: Chyba przeprowadzkę najlepiej wspominasz.

Andrzej: No tak. Bo z takich

kogoś Nowy Testament. Niewiele pamiętam po przeczytaniu oprócz Listu do Rzymian, który do mnie jakoś trafił. Tłumaczenie było dosyć archaiczne –

Dąbrowskiego, ale można było zrozumieć. Objawienia kompletnie nie rozumiałem. Później czytałem Biblię Gdańską. Jak człowiek chce i szuka, to Bóg daje się znaleźć.

Chciałem być zakonikiem. Miałem już zaliczony nowicjat franciszkański, więc byłem już na najlepszej drodze, ale nie odpowiadała mi forma zamkniętego życia w klasztorze. To nie byłoby takie prawdziwe życie. Później trafiłem do wojska, gdzie poznałem wspomnianego kolegę, w Świnoujściu poszedłem pierwszy raz do zboru, a później

Na religię chodziłam w szkole podstawowej, a później już mnie zupełnie nie ciągnęło, a mama nie przymuszała. A co wspominam z nostalgią? Raczej nie ma takiego momentu. Ojciec był alkoholikiem, więc chyba nie ma nic takiego co by można było mile wspominać. Chyba tylko wyjazdy na wakacje. I moją ciocię, siostrę mojej mamy. Była bardzo kochanym, takim ciepłym człowiekiem. Chodziła nawet po cichu do zboru w Gdańsku jako sympatyk i prawdopodobnie miała styczność z rodziną Sajów, którzy już, niestety, nie żyją.

Redakcja: Basia, a Ty masz rodzeństwo?

Basia: Miałam tylko brata, który nie żyje od trzech lat. Było między nami trzynaście lat

slamsów do normalnego bloku... Z Wrzeszcza, bez prądu, z kozą w środku, szczurami, kotami. Po nawróceniu relacje z rodzicami były bardziej napięte, tak że mało przebywałem w domu i drogi się rozeszły. Później jednak wszystko się unormowało, uspokoiło i nie było różnicy w traktowaniu w stosunku do innego rodzeństwa. Myślę, że mamy poprawne kontakty, chociaż troszkę jesteśmy z boku ze względu na poglądy.

Redakcja: Trochę porozmawialiśmy o przeszłości, a teraz powiedzcie co w ciągu tych lat, kiedy jesteście w zborze zmieniło się.

Andrzej: Rzeczy, o których kiedyś nie wypadało mówić, teraz się

częściej porusza. Nie zawsze to dobrze rozumiem i mam z tym problem. Pomiąłbym już politykę całkiem – bywało różnie. Za czasów "Solidarności" byłem w rozdarciu, np. gdy brat był zaangażowany i siedział w więzieniu, a ktoś inny, nie kościół, coś robił. Miałem z tym problem, że jako zbór nie mieliśmy własnego zdania. A teraz mówimy, jaka to komuna była brzydka. Kiedy można było coś robić, to kościół milczał. Ale może tak trzeba. Widać też zmiany obyczajowe. Ludzie swobodniej się zachowują i nie ma takiego dystansu. Nie wiadomo na ile było to sztuczne czy naturalne, gdy zbór był taki uporządkowany.

Redakcja: Nowe osoby nie przejmowały tego, co w zborze?

Andrzej: Chyba w ogóle było to w dosyć trudnym okresie. Zmiana pokolenia. Byli ludzie z lat pięćdziesiątych i długo nie było późniejszych roczników. Dopiero osoby z naszego rocznika były dużym zasileniem zboru. Była taka dziura pokoleniowa. Obyczajowo na pewno będziemy różni od siebie, ale wiele rzeczy, na szczęście, Biblia reguluje. Nie można się obrażać, dziwić, że jesteśmy inni, bo wtedy będziemy się męczyć. Nie będzie nam się wtedy chciało razem działać i w coś angażować.

Redakcja: Jaki macie ulubiony werset biblijny, do którego sięgacie?

Basia: Ja mam dwa. Jeden z Jana i jeden z Objawienia. Z Jana 16:33: "To powiedziałem wam, abyście we mnie pokój mieli. Na

świecie ucisk mieć będziecie, ale ufajcie, Ja zwyciężyłem świat." Natomiast z Objawienia z jednego z listów do zborów lubię fragment mówiący o zachowaniu nakazu wytrwania i Bożej obietnicy zachowania w czasie próby, jaka przyjdzie na świat.

Andrzej: Ja to nie mam jakiegoś dyżurnego. Na pewno ważna dla mnie jest świadomość, że Bóg nas kocha i jesteśmy pod Jego łaską. Pewne rzeczy się zmieniają, ale to jest stałe. Może cokolwiek działać się na świecie, a Bóg ma słowa żywota. Nawet w zborze pewne rzeczy się zmieniają, ale ewangelia jest ta sama.

Redakcja: Może opowiedzielibyście, kiedy doświadczyliście szczególnego Bożego działania lub słów z Biblii, które Was mocno dotknęły?

Basia: Myślę, że Andrzej się ze mną zgodzi, że były dwa takie momenty. Jeszcze na początku naszego małżeństwa rozmawialiśmy o tym, że szatan ma wielką moc na ziemi i czułam niepokój. Poprosiłam Andrzeja, abyśmy uklęknęli i pomodlili się. I w tym momencie spłynął na nas Boży pokój. A druga sytuacja jest związana z pązną rodziną mojego ojczyma. Gdy trafił do szpitala, przyszła siostra ojczyma z pretensjami, że mamy dać jakieś pieniądze, bo ojczym zawsze dawał. Znaleźliśmy plik dolarów i pokazaliśmy, ale Pan Bóg zakrył jej oczy i powiedziała tylko: "A to tylko dolary." I poszła. Wiemy, że Pan Bóg działał i wtedy było to takie namacalne.

Redakcja: Wspominaliście, że macie za sobą 31 lat małżeństwa. Czy zdarzają się między Wami jakieś nieporozumienia? Jeśli tak to jak je rozwiązujecie?

Basia i Andrzej: Bywa różnie.

Basia: Generalnie rzecz biorąc jestem osobą, która się nie potrafi długo gniewać. (-:

Andrzej: I to jest już odpowiedź.

Basia: Gniewam się i nawet złościę. I nieraz sobie mówiłam: "A nie, nie podejść i nie przeproszę. On nie ma racji. Ja zostałam pokrzywdzona". Ale potem przychodzę i przeproszam. Nie chcę, abyśmy się gniewali. Nie powinno tak być.

Redakcja: A to znaczy, że zawsze to ty Basia wychodzisz z przeprosinami? A Andrzej?

Andrzej: No ja jestem zgodnym człowiekiem. ;-)

Basia: Po prostu bardzo różnymi się charakterami. On jest melancholikiem a ja...

Andrzej: ... a Basia nie wytrzymuje.

Redakcja: I nie daje Ci szans. :-)

Basia: Widzicie. Skoro jesteśmy 31 lat razem to znaczy, że nie jest źle.

Redakcja: Jaką macie receptę na szczęśliwe małżeństwo? Co poradziłobyście innym, szczególnie młodym małżeństwom.

Andrzej: Myślę, że każdy sam musi znaleźć to co uspokaja, co nie nakręca.

Basia: Tak, przede wszystkim nie nakręcać się w swojej złości.

Wiadomo jak to się kończy.

Andrzej: Nie warto. Z czasem jak się pomyśli o co chodziło, to

wychodzi na to, że były to drobiazgi.

Basia: Ja po prostu wolę się dogadywać, wyjaśniać. Lubię czyste sytuacje. I lepiej nie chować urazy w sobie, bo to powoduje zgorzknienie. Może Bóg mi darował taki charakter, że nie potrafię chować urazy.

Redakcja: Jednak przy różnicach w charakterach i będąc tyle lat małżeństwem trzeba także w wielu rzeczach jakoś się zgrać.

Basia: Tak. Staramy się sobie ustępować. Są takie sytuacje, w

których Andrzej mnie ustąpi i takie kiedy ja ustępuję. Jedną rzecz, co do której nie możemy się dogadać przez te 31 lat to wspólne wyjazdy. Andrzej jest domatorem a ja, jak to Andrzej mówi, niepotrzebnie rozpakowuję walizki.

Redakcja: A jak spędzacie urlopy?

Basia: Urlop z reguły bierzemy razem z tym że tydzień lub dwa spędzam z Andrzejem, a pozostałą część urlopu sama. Pan Bóg zmienia Andrzeja, bo np. jeździmy na weekendy zborowe.

Wtedy zgadza się, że dajemy klucz do mieszkania mojej koleżance i ona zajmuje się kotem.

Redakcja: Za co siebie cenicie?

Basia: Bardzo cenię swojego męża za to, że jestem wolna od zajmowania się rachunkami, takimi sprawami jak rozliczenia podatkowe, że nie muszę się martwić jak coś pomalować. Bogu dziękuję, że nie muszę tego robić, bo tego nienawidzę. :-)

Andrzej: Za troskę, coś, co naturalnie pchnęło Basię do szkółki niedzielnej – chęć opiekowania się. I ja też tak się czuję pod opieką Basi. :-)

Redakcja: Za co jeszcze?

Andrzej: Mamy różne charaktery. Basia jest bardziej gadatliwa i emocjonalna. Mam wtedy swojego rzecznika.

Redakcja: Ale Ty nie jesteś małomówny.

Andrzej: Nie lubię dużych grup. W mniejszej więcej będę mówił.

Basia: Ale zauważyłam, że nabrałam też cech mojego męża. Widzę, że wolę bardziej kameralne spotkania niż wielkie zloty, aczkolwiek jadę na konferencję dla niewiast.

Redakcja: Byłaś na Ukrainie? A co Cię zainspirowało? Jakie wrażenia?

Basia: Kasia Kreft mnie namówiła i zmotywowała do wyjazdu. Gdybym była osobą samotną to prawdopodobnie bym tam została, bo odpowiada mi prostota życia tych ludzi. Na pewno mają problemy, ale ta ich prostota i wiara naprawdę mi odpowiada. I serce na dłoni. Mają



niewiele, a potrafią się serdecznie podzielić wszystkim co mają. Może nie każdy taki jest ale akurat Ci, z którymi się spotykałam byli tacy.

Redakcja: Jak lubicie spędzać wolny czas? Jakie macie zainteresowania?

Basia: Różne. Spaceruje. Ostatnio przesadziliśmy i nogi nas tak bolały, że ledwo doszliśmy do domu.

Andrzej: Na rowerach już nie. Rower się rozsypał. Zepsuło się nawet to co się nie powinno psuć.

Basia: Mamy też podobne poczucie humoru, jeśli chodzi o oglądanie filmów, komedii.

Andrzej: Starych polskich komedii np. "Co mi zrobisz jak mnie złapiesz", "Miś", itd. Filmy, nie z czarnym, ale z absurdalnym humorem.

Redakcja: Lubicie to co robicie?

Basia: Co mi nie odpowiada to komercyjność. Pacjenci mi nie przeszkadzają. Chociaż zdarzają się trudni. Tak jak Andrzej powiedział, lubię pomagać ludziom. Jeśli mogę zrobić coś ponad procedurami, to chętnie pomagam. Czasem trzeba zapomnieć o procedurach, a pamiętać o człowieku. Tylko trzeba się dużo uczyć różnych programów, a z wiekiem trudniej.

Andrzej: Atmosfera czasem jest dziwna, ale to ludzie ją tworzą. Ale tam, gdzie ja pracuję od siedmiu lat nie jest tak źle. Chociaż w pewnym momencie, gdy byłem chory, chciano mnie zwolnić. Ale inna osoba poszła spać w czasie pracy, w ciągu dnia. Przebił mnie ten kandydat.

Redakcja: Jesteście zaangażowani w przygotowywanie obiadów w zborze. Moglibyście opowiedzieć jak zrodził się pomysł?

Basia: Na jednym z weekendów zborowych w Borzechowie myśleliśmy o różnych służbach, które można by było mieć w zborze i wtedy Wojciech Iwaniuk, Tereska Kałduńska i ja rozmawialiśmy na temat obiadów. Powstał taki pomysł, żeby ludzie nie wracali szybko do domów tylko mogli zostać na obiedzie, pobyć ze sobą i porozmawiać. Na początku była idea, aby robić to za darmo.

Wojtek wziął nas do pomocy, a gdy zrezygnował pomyśleliśmy, że warto byłoby pociągnąć to dalej. Musieliśmy wprowadzić

opłaty, ale koszty nie wzrosły. Teraz jest nam trudniej bez samochodu, ale Andrzej stopniowo robi zakupy, wyszukuje promocje. Trudno się z kimś umawiać na zakupy, gdy chce się jechać w różne miejsca w różnym czasie. Najpierw wymyślamy co będziemy gotować, a wtedy wyszukujemy produkty. Z każdego obiadu Andrzej robi notatki: ile było zapisanych osób, ile wyszło porcji, ile zostało. W ten sposób uczymy się ile kupować produktów potrzebnych do przygotowania obiadu. Ostatnio przekazywaliśmy mieszkańcom zboru to co zostało.

Redakcja: Kto szefuje?

Andrzej: Nie ma szefa. Pomysły są wspólne. To są posiłki jednogarnkowe. Nabożeństwo jest jedną społecznością, dlatego



staramy się nie wychodzić w trakcie, by jeszcze coś przygotowywać. Ewentualnie wstawiamy ziemniaki. Obiad przygotowujemy rano, część robimy w domu. Do sprzątania też mamy ochotników, nawet jest kolejka do zmywania, a to bardzo cieszy. Z nami przychodzą Kasia Kreft, Marek Remzyk, mamy społeczność, razem jemy śniadanie i razem się modlimy. Oczywiście, jeśli byłby ktoś chętny do pracy z nami, to przyjmiemy. Obiady przygotowujemy od jakichś 5-6 lat. Staramy się, by był raz w miesiącu. Wspominamy siostrę Kiczkieluk, która potrafiła zachęcić do pracy w kuchni.

Basia: Pracowałam z nią na obozach.

Andrzej: To była ciekawa osoba.

Basia: Kiedyś nie było wigilijek. Obchodziliśmy święto żniw, bardziej uroczyste były chrzty. Młodzież organizowała Sylwestra, zaczynało się nabożeństwem o godz. 18 i trwało do godz. 24.

Redakcja: Co jest dla Was radością?

Basia: Nawrócenia młodych ludzi, potem chrzty. Zawsze przypominam sobie słowa z Przyp. Salomona: "Raduj się niepłodna, bo masz więcej dzieci niż ta, która rodziła". Traktuję je jako swoje dzieci.

Redakcja: Andrzej, zajmujesz się księgarnią.

Andrzej: Jak widać w domu też mam księgarnię, od zawsze to była moja pasja. Lubię czytać książki, ale nie dotyczące spraw dogmatycznych, bo uważam, że od tego jest Biblia, ale

komentarze. Odpowiada mi sposób pisania Jancey'a, np. „Zaskoczony łaską.” Podobają mi się jego przemyślenia, szczerość, krytyczne uwagi, czasem nawet wobec siebie.

Redakcja: A co Wam pomaga lepiej poznać Boga?

Andrzej: Po tym co przeżyliśmy z Bogiem trudno mu nie zaufać.

Basia: Może z racji zawodu mam tak, że np. jak Andrzej za długo nie wraca z pracy, to szatan mi podpowiada, że może coś się stało. Wtedy modlę się, wierząc, że wszystko jest w Bożych rękach. A ciekawe, że jak była poważna choroba mojego męża, to Bóg dawał mi pokój.

Redakcja: Jakiś czas temu mieliście wypadek samochodowy.

Czy po tym wydarzeniu macie jakieś przemyślenia?

Basia: Sama chęć posiadania samochodu, teraz już wiemy, że przydałby się, ale bez naciskania. Gdy kupowaliśmy tę hondę, która uległa zniszczeniu, to był nacisk, że musimy mieć i to jak najszybciej. Teraz myślimy – jak będzie, to będzie. Tramwaje też są dla ludzi.

Andrzej: Wypadek to był naprawdę cud Boży. To, że tak się skończyło, że my żyjemy. Chyba nawet nie zdawałem sobie sprawy ze stopnia zagrożenia. Sanitariusze szukali ofiar na ulicy, a my wyszliśmy bez szwanku.

Redakcja: Co leży Wam na sercu?

Basia: Cierpiący chrześcijanie. Staram się modlić o nich, by Bóg ich wzmacniał.

Redakcja: Na zakończenie, może chcielibyście się jeszcze czymś

podzielić z czytelnikami gazetki?

Andrzej: Swoboda, naturalność – przychodzę do zboru i mogę czuć się swobodnie, pożartować, uśmiechnąć. Pobożność, ale dobrze pojęta.

Basia: Prawdziwa miłość. Im więcej jesteśmy z Bogiem, tym więcej okazujemy sobie nawzajem miłości. Tego nam najbardziej potrzeba. W świecie tego nie znajdziemy. Nie twierdzą, że jej nie ma, ale trzeba ją pielęgnować. Zbór to ja. Powinniśmy się pilnować i pamiętać, że kiedyś staniemy przed Bogiem, a teraz mamy się do Niego przybliżać.

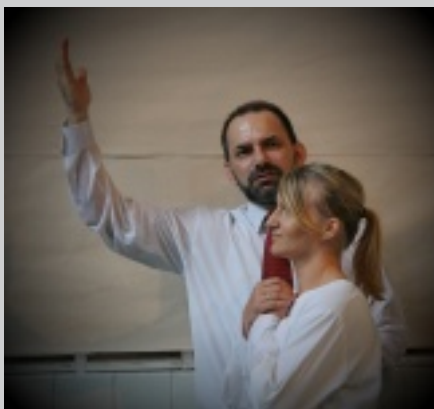
Redakcja: U Was w domu od kilku lat odbywa się grupa domowa.

Andrzej: Siedem. Kiedyś grupa była u Egelmanów, jeszcze ich dzieci były małe. Potem spotykaliśmy się w różnych domach.

Basia: Modliłam się o to, by grupa była u nas. Chodziło o mojego męża, jego "domowość". Mogliśmy się u nas spotykać dopiero po śmierci mojej mamy, ponieważ ona wymagała ciągłej opieki. Miała różne bardzo dziwne pomysły. To była dla mnie wielka szkoła ufności Bogu.

Andrzej: Nie byłem wielkim zwolennikiem grup. Ale jak już zacząłem chodzić to chodziłem. Grupy są dobre, pożyteczne, ale nie mogą być sztuczne, robione na siłę.

Redakcja: Dziękujemy za rozmowę.



Agnieszka Kotlewska

zmian, jakie Dawid wprowadził w swoim i naszym wspólnym życiu. Myślałam: to kolejny etap w jego życiu, kiedy się na coś nakręca, a potem zostawia. Jednak jego postawa, słowa w stosunku do mnie i otoczenia były prawdziwym dowodem na to, że on naprawdę pod wpływem Ewangelii staje się innym człowiekiem – to był dla mnie prawdziwy cud.

Dziękuję Mu codziennie za to, że mnie wybrał, że dał mi szansę poznania prawdy i zmienił moje życie. Dziś jestem pewna, że mój Bóg jest Bogiem żywym, czuję Jego obecność. Jest moim Tatą, do którego mogę się zwrócić i mam w Nim oparcie.

W to, że Bóg naprawdę istnieje nigdy nie wątpiłam, jednak przez lata mojego dzieciństwa i dojrzewania myślałam o Nim, jako surowym i srogim ojcu, stanowiącym pieczę nad światem. Może dlatego moje modlitwy skierowane były głównie do Marii; to ona wydawała mi się bliższa, wierzyłam, że wstawi się za mną u Boga. Pamiętam, że modliłam się codziennie, chodziłam nawet przed szkołą do kościoła, by odmówić różaniec. Z czasem jednak przestałam się modlić i chodzić do kościoła. Bóg w moim życiu miał coraz mniejsze znaczenie. I wydawało mi się, że tak jest dobrze, że, w porównaniu z innymi, nie jestem przecież taka zła. Tymczasem sama z sobą i otoczeniem czułam się coraz gorzej, czułam pustkę w sercu, życie przestawało mieć sens. Nic mnie nie cieszyło, a narastające problemy, przerażały. Dopiero po nawróceniu mojego męża Dawida zdałam sobie sprawę, jak bardzo oddaliłam się od Boga i jak straszną osobą się stałam. Początkowo byłam sceptycznie nastawiona do

Teraz już wiem, że to Bóg działał w jego i moim życiu. Otworzył jego oczy, a potem i moje, które przez lata były zamknięte. Zastanowiłam się nad moim życiem i zrozumiałam, jak bardzo zepsute jest moje serce i zrozumiałam, że jest dla mnie tylko jeden ratunek – Jezus Chrystus. Czytając i rozważając Słowo Boże oraz słuchając kazań, każdego dnia odkrywam, jak wielką jest siłą. To swoista instrukcja od naszego kochanego Ojca, która mówi, jak żyć. To źródło poznania i zrozumienia świata.

Dzisiaj nie ma dnia, abym nie myślała o Bogu. Wiem, że bardzo mnie kocha i troszczy się każdego dnia. Wiem, że jedyną drogą do Niego jest Jezus Chrystus, któremu pragnę ofiarować całe moje życie i iść za Nim. Teraz już wiem, że do Boga mogę się zwrócić ze wszystkim. Pragnę jego obecności w tym co robię i modłę się, by wskazywał mi drogę, a także, by badał moje serce, zmieniał je, ponieważ jestem słaba i mogę zbłądzić.



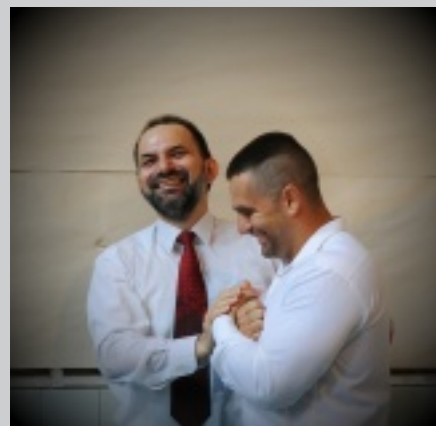
Dawid Kotlewski

Historia mojego nawrócenia zaczęła się na początku 2013 roku. Tak mi się zdaje, możliwe, że Pan działał w moim życiu już wcześniej, ale tego nie zauważałem. Jednak w marcu ubiegłego roku Pan Bóg dotknął tak mojego serca, że nie dało się tego nie zauważyć.



Zacząłem się od głębokich rozważań nad sensem i celem mojego życia oraz pragnienia odwrócenia się od grzechu (wtedy myślałem o złych nawykach i to od nich chciałem się odwrócić). Przez długi czas próbowałem zostawić złe przyzwyczajenia, ale nie udawało się i wracałem do nich, czując się coraz gorzej. W ubiegłym roku pomyślałem, że gdybym miał coś w rodzaju instrukcji do mojego życia, której bym ufał, nie popełniłbym tylu błędów. Pomyślałem o Biblii, że to ona powinna być moim drogowskazem, ale przypominałem sobie, że już kiedyś próbowałem ją czytać, ale nie zrozumiałem za wiele, a może nie chciałem rozumieć. Minęło kilka lat i w mojej pracy pojawił się człowiek z kościoła ewangelicznego, który nawrócił się kilka lat wcześniej. Zaciekał mnie swoją wiarą w Boga i tym, że stara się żyć jak uczeń Chrystusa. Rozmawialiśmy bardzo dużo o Ewangelii i o tym, co Pismo Święte mówi na temat zbawienia. Zacząłem uczęszczać do zboru (do którego chodził mój kolega). Od tamtej pory codziennie myślałem o Panu Bogu. Pan wlał w moje serce gorące pragnienie poznania Go.

Przeczytałem Nowy Testament, słuchałem kazań przez Internet i modliłem się gorąco do Boga każdego dnia. Bóg odwrócił mnie od mojego grzesznego stylu życia i teraz pragnę być sługą Jezusa Chrystusa i podobać Mu się.



Moje życie od tamtego czasu zmieniło się niesamowicie, chociaż nie zawsze jest łatwo i często upadam, to wierzę, że moim życiem kieruje Wszechmogący, dobry Bóg, któremu ufam i który chce mojego dobra. Wiem, że muszę być cierpliwy i pokorny, a Pan nauczy mnie, jak być użytecznym narzędziem w Jego ręku i jak rozpoznać Jego wolę. Czytając Słowo Boże czułem, że muszę należeć do wspólnoty ludzi wierzących. Początkowo uczęszczałem do zboru, do którego chodził mój kolega z pracy i ze łzami w oczach modliłem się do Pana, aby pomógł mi znaleźć kościół lub wspólnotę ludzi, których On miłuje i gdzie ja czułbym, że tu jest moje miejsce. Po kilku miesiącach natknąłem się na kazania Paula Washera, które mnie bardzo zaciekały i sprawiły, że zacząłem szukać Kościoła Baptystów w pobliżu miejsca, z którego pochodzę (Starogardu Gdańskiego). Tak trafiłem tutaj. Słuchając kazań z waszego zboru czułem ogromną ulgę i czułem w sercu, że to jest miejsce, w którym chcę wzrastać w wierze, miłości i w poznawaniu woli Pana Boga.

List z ETIOPII

Niesłuchanie długi, ilustrowany list o pewnej lokalnej podróży



Lokalizacja dworca autobusowego w Addis Abebie to Merkato - największa dzielnica handlowa w Afryce Wschodniej. Ostatnio jeszcze trudniej tam się dostać, niż zwykle, ze względu na budowę torowiska pociągu miejskiego, który już w niedalekiej przyszłości ma być rozwiązaniem problemów z dostępnością środków lokalnego transportu w stolicy Etiopii. Zresztą, pociągiem czy innym pojazdem, żeby zdążyć na autobus relacji Addis Abeba - Arba Mincz, na dworzec i tak trzeba się wybrać już przed 5.00. Z Tamyru jest łatwiej, bo razem możemy jechać tańszym minibusem, zamiast brać taksówkę za 20-krotnie wyższą cenę.

Wstajemy ok. 4.00 i szybko się pakujemy, po czym żarliwie modlimy się o Bożą opiekę w podróży i szczęśliwe dotarcie do domu. Idziemy na "przystanek" (no, nie jest oznaczony, ale przecież widać, gdzie ludzie czekają) i razem z grupką innych podróżnych czekamy tylko 15 minut, po czym podjeżdża puściutki minibus, zajmujemy wygodne miejsca i zaczyna się pęd do Merkato przez puste o tej porze ulice. Po drodze udaje się wepchnąć do środka jeszcze kilka osób, żeby maksymalnie wykorzystać dostępne miejsce, i dojeżdżamy. Okolicy nie rozpoznajemy, bo wszystko rozkopane i trudno się zorientować, gdzie jesteśmy, na szczęście pomaga nam latarka. Wchodzimy bramą dla tych, co

nie mają biletu i kierujemy się do kas. Pusto, kolejki nie ma... Tamyru kupuje 2 bilety do Arba Mincz, pokazuje je kontrolerowi, i przedostajemy się do części, gdzie stoi już mnóstwo gotowych do drogi autobusów. Szukamy tego naszego, wypatrując odpowiedniego bocznego numeru (każdy autobus jest numerowany), ale i tak chyba nie trafilibyśmy na miejsce, gdyby nie jeden z pracowników obsługi autobusu. Toruje nam drogę, pokrzykując tu i tam, wchodzimy do środka i ... widzimy szeregi pustych miejsc - niedobrze! O tej porze już większość powinna być zajęta. Wielka szkoda, że nie pofatygowaliśmy się na dworzec dzień wcześniej, by kupić bilety w przedsprzedaży! Wybieramy sobie miejsce wg uznania, wsiadają jeszcze dwie osoby, ale zaczynamy nabierać przekonania, że ten autobus to nie był najlepszy wybór. Ja zostaję w środku, pilnując bagaży, a Tamyru idzie się rozejrzeć na zewnątrz. Znajduje inny autobus, jadący wprawdzie do Czencza, ale przez Arba Mincz. Przenosimy się tam i zajmujemy jedno z ostatnich miejsc na samym końcu, ale całkiem niezłe. Problem tylko z tym, że trzeba zamienić bilety, a obsługa poprzedniego pojazdu nie chce się na to zgodzić... W końcu Tamyru odbiera pieniądze, tracąc

na "opłaty manipulacyjne" 50 birr, i kupuje bilety na ten drugi autobus. Na biletach nie ma numerów siedzeń, więc przeczuwam problemy, ale nie mam komu o tym powiedzieć, bo Tamyru wyszedł, a ja jestem zablokowana bagażami i kolejnymi chętnymi do podróżowania tym autobusem, tyle tylko, że miejsc siedzących już chyba nie ma. No i stało się - przychodzi dziewczyna, która ma na bilecie nr 54, a ja właśnie na nim siedzę. Proszę, by poczekała, to się sprawa wyjaśni, więc w końcu ona siada przede mną, gdzie - jak się potem okazuje - miejsca jednak nie są zajęte. Trochę ulgi, ale nie na długo, bo zaledwie przyszedł Tamyru i usiadł obok mnie, przychodzi dwóch panów, którzy żądają dostępu do siedzenia nr 53, właśnie zajętego przez Tamyru... Każdy się upiera przy swoim (to w końcu nie nasza wina, że

mamy bilety bez numerów), ale wreszcie ten właściciel siedzenia nr 53 decyduje się usiąść z tyłu, i sprawa na razie rozwiązana. Pomocnicy kierowcy krążą po autobusie i sprawdzają, czy wszystkie miejsca są zajęte, ale kierowca wcale się tym nie przejmując: już rusza. Okazuje się, że jednak nadal są 2 wolne miejsca, w tym jedno w rzędzie przed nami, więc ten właściciel siedzenia nr 53 przesiada się tam i chyba jest zadowolony. Zresztą my też, bo po początkowych utarczkach można wreszcie zacząć drzemać... Rozdają wszystkim pasażerom kawałki chleba w folii (w cenie biletu), ale my chowamy nasze na później.

Tamyru budzi mnie na śniadanie. Myślałam, że to już połowa drogi w Hosaina, ale to dopiero Butadżira, zaledwie 3 godz. od Addis Abeby; ciekawe, dlaczego zatrzymujemy się akurat tutaj...

Toaleta bez drzwi, ale i tak nie ma wyboru, więc uwijamy się prędko i idziemy do przestronnej knajpki. Dźwigamy nasze podręczne plecaki, bo nie chcemy ryzykować ich utraty... Zamawiamy smażone jaja, jednak musimy się naczekać, zanim będą gotowe. Tamyru pije herbatę, ja nie chcę nic ciepłego. Płacimy i wychodzimy, ale autobus nadal zamknięty, choć minęło już pół godziny postoju. Kupujemy pomarańcze i siadamy w cieniu, obserwując kolejne autobusy, wjeżdżające na ciasne podwórko. Pomocnicy kierowcy z naszego autobusu krążą tu i tam, otwierają kolejne autobusowe zakamarki, wyciągają narzędzia, oglądają miejsca pod spodem i w środku, i sprawa się wyjaśnia: silnik się zepsuł. Patrzymy na siebie, ale jedyne, co możemy zrobić, to spróbować nasze pomarańcze i czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Pan, który kłócił się o siedzenie nr 53 ma chyba lepsze rozeznanie w sytuacji, bo zabiera swój bagaż z autobusu i znika na dobre... Pomarańcze kwaśne jak nieszczęście, ale orzeźwiają. Co jakiś czas wstajemy, oglądamy, co robią pomocnicy z naszego autobusu, odrzucamy niezliczone oferty zakupu gumy do żucia, ciastek, pasków, notesów, majtek, kocyków, szalików, chusteczek higienicznych, napojów gazowanych, prażonej pszenicy i ciecierzycy, kolejnych pomarańczy, wazeliny w saszetkach i innych drobiazgów... Obsługa naszego autobusu obiecuje zamianę pojazdu,



pertraktują z lokalnymi pośrednikami, pojawia się nadzieja! Trzeba będzie dopłacić po 10 birr na osobę, ale wydaje się, że każdy się zgadza, żeby tylko ruszyć z miejsca... Ha, jest tylko pewien drobiazg - w tym autobusie do zamiany siedzą inni pasażerowie, którzy chcą dojechać do Addis Abeby! Jest ich niewielu, zmieściliby się w mniejszym autobusie, który już czeka, ale oni - nie! Nie chcą, i już. Przekonywanie trwa kolejną godzinę, aż wreszcie pierwsi podróżni zaczynają powoli wysiadać; na końcu wychodzą ci z awanturnicznym nastawieniem, którzy wciąż żałują straconych miejsc w przestronnym pojeździe...

Czekamy przed opróżnionym autobusem, wreszcie pojawia się człowiek z obsługi, strasznie wścickły, ale pytam się go, czy można wchodzić. Ignoruje mnie, ale sam wpycha się do środka, więc uznaję, że też mogę, ale on zaraz wraca i przepędza mnie z drogi stekiem wyzwick. Ufff... Odczekuję chwilę, ale jak tylko ktoś inny się odważy, wchodzę za nim i zajmuję miejsca Tamiru i sobie, podobne do poprzednich. Ten autobus faktycznie jest fajniejszy, ma wygodniejsze siedzenia i więcej miejsca na kolana, poza tym na półkę udaje się wcisnąć mój plecak. Jeszcze ostatnia wizyta w niegościnnej toalecie, i ... prawie ruszamy. Pośrednicy są niezadowoleni z interesu, więc obsługa autobusu pertraktuje z nimi nadal i przychodzi się upewnić, że każdy z podróżnych zapłaci dodatkowe

10 birr od osoby - TAK!!! Zgadza się, niby jednogłośnie. Załatwione, czy nie, kierowca rusza z miejsca i jedzie, dopóki jego pomocnicy i inni podróżni nie zaczęli krzyczeć, że ktoś tam został... Spóźnialskim udaje się dobiec, i wreszcie znowu jesteśmy w podróży, z 3-godzinny opóźnieniem. Pomocnicy kierowcy zaczynają się odprężać po stresie pertraktacji, a ten, co mnie tak wcześniej wyzwał, zauważa teraz, że ma "ferendź" (obcokrajowca) na pokładzie i zaczyna mi słać uśmiechy. Drugi pomocnik przesuwają się powoli od miejsca do miejsca i inkasują tę umówioną dodatkową opłatę, mijają pół autobusu i dociera do pierwszej przeszkody - jeden pan się zawziął, że nie zapłaci, i już, bo całą kwotę za bilet przecież

zapłacił, a on jedzie tylko do Sodo... Pomocnik kierowcy nie dowierza: przecież umawialiśmy się i wszyscy się zgodzili?! Do opornego to nie trafia, prośby i wrzaski nie pomagają, pokazuje nawet bilet, ale pomocnik przecież wie, jak ten bilet wygląda i nie o bilet w końcu tu chodzi, więc zgniata go i rzuca na podłogę, i idzie dalej. Kilka osób płaci, ale potem znowu trafiają się dwie zawzięte osoby - nie zapłacą! Koniec, kropka. Tutaj też pertraktacje i przekonywanie nic nie pomagają, choć pomocnik kierowcy stara się, jak może, by sytuację po raz kolejny wyjaśnić... Nie ma siły! Kiedy przychodzi nasza kolej, my płacimy swoje, ale ci obok nas - już nie. Znowu kłótnia, wrzaski, prośby i groźby, jednak bez skutku. Pewien pan z ostatniego





Fajnie było się trochę poruszać, ale przed nami jeszcze daleka droga... Przeklinający pomocnik kierowcy okazał się być nałogowym palaczem, więc nie tylko pali na każdym przystanku, ale otwiera drzwi i pali nawet w pozycji wiszącej - ciekawe! Jego przyjazne uczucia na tyle wzrastają, że woła do mnie "I love you", co inni przyjmują z prawdziwym uznaniem i cieszą się, że zostałam należycie tu doceniona. No tak, lepsze to niż wyzwiska! Tamyru i inni podróżni zauważają nowy dźwięk gdzieś w okolicy tylnego lewego koła, więc pomocnicy kierowcy sprawdzają, ale nie widzą nic alarmującego i jedziemy dalej (gwizdy nadal słychać). Tamyru trochę rozmawia z sąsiadem, ja nadal drzemię, ale autobus zatrzymuje się znowu - tym razem w Boditi, które pamiętam z dawniejszych podróży jako miejsce obfitujące w awokado. Tym razem awokado nigdzie nie widać, zresztą całe miasteczko bardzo się zmieniło, nowe ulice, ronda, budynki... Okazuje się, że musimy zatankować. Na stacji benzynowej nasi współpodróżni, zmierzający do Czencza, zauważyli swoich znajomych z rodzinnej miejscowości i zaprosili ich do autobusu. Te nowe osoby pozajmowały cudze miejsca, ale na razie nikt nic nie mówi, bo autobus chwilowo opustoszał... Niech siedzą. Tamyru zauważa przy drodze kobietę z termosem i wysłał mi przez nią kawę - piję jedną filiżaneczkę. Tamyru kupuje jeszcze prażone orzeszki i zajadamy się nimi, dopóki nie

miejsca płaci za siebie i chce nawet - dla spokoju - zapłacić dodatkowe 10 birr, ale ci, co nie chcą płacić, nie zgadzają się nawet na to, żeby ktoś za nich zapłacił, więc przepychanka nadal trwa. Wreszcie ten pan, który odmówił płacenia jako pierwszy, zmienia zdanie i płaci, a uszczęśliwiony pomocnik kierowcy rzuca mu się z ulgą na szyję... Ci pozostali nie poddają się tak łatwo, choć inni pasażerowie tłumaczą, że gdyby nie ten autobus, to każdy musiałby przecież zapłacić co najmniej 20 razy więcej, żeby dziś dotrzeć do domu, a jakby trzeba było gdzieś przenocować?! Dodatkowy koszt! Przepychanki trwają, ale pomocnik kierowcy nie może się przecież poddać i w

końcu zbiera pełną kwotę - walczył jak lew, ale gdyby mu się nie udało zebrać, to różnicę musiałby pokryć z własnej kieszeni. Co za ulga! Wreszcie trochę spokoju. Autobus pędzi, motor działa bez zarzutu, wygodnie, nawet nie za gorąco... Drzemimy, ale autobus zatrzymuje się na drodze, więc trzeba skorzystać z okazji - idziemy poszukać ustronnego miejsca, ale najlepsze, co możemy znaleźć, to jednostronna osłona. Przydaje się narzutka Tamyru w formie jakby szerokiej spodnicy - jakoś sobie radzę! Biegniemy z powrotem, bo kierowca, jak zwykle, nie czeka - reszta opieszale musi wskakiwać już w pędzie.

wyjaśnia się powód tych dźwięków przy kole - okazuje się, że... mamy "kapeć". Trzeba szukać punktu wulkanizacji, który tutaj nazywa się "gomista". Jest, jedziemy tam, ale pompowanie powietrza tylko potwierdza, że oponę po prostu trzeba

miejsc, ale w końcu jakoś wciskają się na rząd ostatnich siedzeń. Ruszamy, i znowu zaczynają się utarczki o opłatę za bilety - nowi podróżni nie chcą płacić 90 birr za bilet do Czencza, bo ten kosztuje z Boditi tylko 60 birr; cóż, pomocnik

dotatkowa godzina w autobusie... Inaczej jednak się nie da, bo autobus ma nocować w Czencza. Kierowca jest nowy na tej trasie, poza tym ma słabe reflektory, więc dwa razy wjeżdża na zablokowaną drogę, która jest w budowie. Udaje się nam nie utknąć w rowie, ale tracimy cenne minuty... Do Arba Mincz docieramy o 20.30 (normalnie przyjechalibyśmy 15-16), na szczęście dla nas kierowca sam zarządził, że nie jedzie aż na dworzec, tylko zatrzymuje się tam, gdzie akurat Tamyru i ja chcieliśmy wysiąść: przed pierwszym rondem w mieście. Zatrzymujemy mały trzykołowy pojazd, hinduski bajaj (badżadz), który wyparł minibusy jako lokalne taksówki w wielu etiopskich miastach, i dojeżdżamy do bramy szkoły technicznej, na terenie której mieszkamy. Po drodze do domu spotykamy jednego z miejscowych stróżów, który akurat tego dnia rankiem przyczynił się do złapania złodzieja, grasującego tam od wielu miesięcy...



wymienić... Korzystamy z okazji i robimy kilka zdjęć, żeby udokumentować tę pamiętną podróż. Mija godzina, szczególnie ciężka dla tych, którzy jadą tylko do Sodo - to zaledwie 20 min. jazdy od Boditi! Tamyru stoi pod moim oknem i prosi o chusteczkę, więc mu podaję, przed czym próbuje mnie powstrzymać siedzący obok chłopak, ostrzegając, że inni też będą ode mnie potem chcieli różnych rzeczy... Podziwiam go za zrozumienie sytuacji i dziękuję za troskę, ale uspokajam, że to był mój mąż - oczywiście chłopak mi nie wierzy. Zanim ruszymy, jeszcze trzeba poprzesadzać nowych pasażerów, którzy niechętnie ustępują z lepszych

kierowcy chciał sobie chyba odbić wcześniejsze straty emocjonalne... Staneło na 70 birr, bo i ci nowi, jak każdy, mieli zapłacić te dodatkowe 10 birr za zamianę autobusu, choć ta dokonała się na długo przedtem, zanim oni wsiedli.

Po 20 min. dojeżdżamy do Sodo, wysiada 9 osob i kilka dosiada, ale i tak robi się luźniej. Dochodzi 17.00, a my jeszcze mamy 2-3 godz. jazdy przed sobą. Już jest pewne, że nie dojedziemy na miejsce przed zmrokiem. Obsługa autobusu decyduje, że najpierw dowozi pasażerów do Arba Mincz, a dopiero potem jedzie z pozostałymi do Czencza - dla nas to lepiej, ale dla nich to

Z wdzięcznością i ulgą dziękujemy Panu Bogu za szczęśliwe dotarcie do domu i za to, że na miejscu wszystko też jest w jak najlepszym porządku. A przeszkody - cóż, to dzięki nim wiemy, że Boża opieka i ochrona są po prostu bezcenne!

Iza Karpienia

Elizabeth Brownd

When I think of European culture, one of the first things that comes to my mind is coffee shops. You never have to look far in Europe to find a coffee shop. There is one on practically every corner of every town. In the big cities, there might even be two or more on the same corner. If you asked, most people would tell you that they go to these places for the coffee or the wireless internet. But why else do they go? What is it about coffee shops that people are so attracted to? The coffee shop has been around for centuries. In Gdansk there are almost as many coffee shops as there are apartment buildings. The old city center is filled with coffee shops. And most of them are almost full of people. The question is, why? Two years ago my family was driving through Edmond, Oklahoma while visiting my grandparents. There was no one outside, no movement other than cars driving up the road. Not to mention that everything just felt so far apart. The thirty-eight degree heat was not helping. Neither was all of the flat land and fried brown grass. It was such a stark comparison to the cobblestone streets I had walked only days before. Streets full of people walking and talking. Streets lined with coffee shops. Something about the landscape rolling by really began to bother me, but I could not quite figure out what it was. As we drove, my dad started

telling us about a book he had read by Francis Chan, a Christian pastor and author. In this particular part of the book, Chan was talking about being in a coffee shop in a big city. As he was sitting in the coffee shop, he began observing people. Some of them were using their internet. Some of them were drinking coffee. Most of them were sitting in groups talking. Watching them all sitting together simply enjoying each other's company, Chan suddenly realized what it is about coffee shops that draws people so much



- the life. Coffee shops are alive. They are full of people talking and laughing and just enjoying being together. You can walk into just about any coffee shop and immediately feel life just rolling off of them. Especially in the big cities, where everyone is so busy and focused on their own life, coffee shops provide a chance for people to be together and be what we are designed to be: social beings. There are very few places in America where people can walk from place to place, and what

few exist are usually crammed with people hurrying about their busy schedules. Streets in America lack the same life and excitement found in European streets. Perhaps this is part of why American tourists enjoy Europe so much, why they are drawn to the coffee shops. Because they are full of life. As Christians, Jesus calls us to be the light of the world (Matthew 5:14-16). We are supposed to stand out as something different. We are supposed to be alive in a world of people who are spiritually dead. (Ephesians 2:1-5) In a way, we should be like the coffee shops of the earth. People should see something different in us. We should be filled with the Holy Spirit, alive in a way that is totally different from anything the world has ever seen. And that life should draw people to us just like coffee shops draw people. But to do that, we have to drench ourselves in the Word of God. We have to live and breathe truth, mercy, and love. Because what we put into our hearts will come out. And when we are following God with all of our hearts, when we are over-flowing with His love and grace, when we are filled up with the fruits of the Spirit, people will see that we are different. That we are alive. And then they will want what we have. So the next time you go to coffee shop, take a look around you. See the life. Soak it up. Then go sit down with the God's word and let Him bring you to life.

Wakacje na Dolnym Śląsku



Wodospad Kamieńczyk

Chociaż mieszkamy nad samym morzem, to w najbardziej upalnym okresie tegorocznego lata chcieliśmy wybrać się na rodzinne wakacje na południe kraju. Zakopane? Sandomierz? Znajomi z naszego zboru byli kilka tygodni wcześniej w Lwówku Śląskim i zachęcili nas do odwiedzenia tych rejonów. I tak zamieszkaliśmy w uroczym 450 letnim pałacyku Elim Christian Center. Do dyspozycji mieliśmy apartament z kuchnią, łazienką i osobną sypialnią dla dzieci.

Położenie miasta pozwalało na zwiedzenie pięknych okolic. Zaczęliśmy od zamków: Książ, Grodziec, Czocho, Bolków (nie dane nam było zwiedzić tego ostatniego z powodu osobliwej imprezy Castle Party). Później

odwiedziliśmy Karpacz, Jelenią Górę, Szklarską Porębę. Ze względu na hobby Ewy nie mogliśmy pominąć Bolesławca. Wybraliśmy się też na górską wędrowkę na Szrenicę, naszą pierwszą z dziećmi.

Jeśli nie byliście jeszcze w tych okolicach, to koniecznie zatrzymajcie się w pałacyku.

W takiej klatce wieszano na widok publiczny osoby nieobecne na nabożeństwie.

Brat Witek



Zamek Grodziec

Obóz w Stężycy

Na początku wakacji pojechałam na świetny, chrześcijański obóz dla nastolatków, który odbywał się w Stężycy. Opiekunowie mieli bardzo zaskakujące pomysły i przygotowali ciekawe zajęcia, uwzględniające aktywność fizyczną, naukę języka angielskiego oraz... wieczorną społeczność. Podczas tej wieczornej społeczności obozowicze mieli okazję wysłuchać krótkiego wykładu opartego na Biblii lub świadectwa nawrócenia któregoś z liderów. Oprócz tego, każdy kto chciał, mógł uczestniczyć w uwielbianiu Pana Boga śpiewaniem pieśni oraz „głośnymi” lub „cichymi” modlitwami. Opiekunowie mieli świadomość, że na obozie chrześcijańskim mogą się pojawić również osoby, które być może nigdy nie miały do czynienia z kościołem. Mieli też świadomość, że taki niewinny, dziewięciodniowy wyjazd może być dawno temu zaplanowaną przez Boga, jedyną drogą do tego, by ci ludzie poznali Jezusa. Aby zachować ogólny porządek i uniknąć samowolnego krzątania się niepełnoletnich podopiecznych po ośrodku, obecność na wieczornej społeczności była obowiązkowa dla wszystkich obozowiczów. Nie dało się jednak

wyczuć czegoś w rodzaju zmuszania do utożsamiania się z religią chrześcijańską... Nie wiem, jak to nazwać, ale jestem pewna, że nikt nie odebrał czasu śpiewania pieśni jako czegoś, do czego każdy jest zobowiązany



nawet wbrew swojej woli. Bardzo cennym według mnie punktem, który również był dla chętnych, okazał się chatroom. Wieczorami, kiedy po ściśle zaplanowanym dniu, w końcu mieliśmy trochę wolnego czasu, była możliwość porozmawiania na spokojnie z którymś z opiekunów. Przed zamkniętymi drzwiami do małego, przytulnego pomieszczenia ustawiała się kolejka „zainteresowanych” ofertą młodych ludzi. Wchodziło się oczywiście pojedynczo. Rozmawiać można było o wszystkim. Można było podzielić się swoimi problemami i poprosić o modlitwę. Można było spytać o coś, co nie dawało spokoju od dłuższego (bądź krótszego)

czasu. Można było zadać dodatkowe pytania dotyczące wykładu lub świadectwa, w zależności od tego, który lider znajdował się akurat w chatroomie. Czasami obozowicze wychodzili ze społeczności wzruszeni i sami nie do końca wiedzieli dlaczego. Była to świetna okazja do „wyżalenia się” w chatroomie. W wyciszonym pomieszczeniu nie trzeba było się obawiać, że ktoś usłyszał, o czym się rozmawiało.

Na obozie w Stężycy byłam w tym roku piąty raz. Przez te pięć lat, a zwłaszcza przez ostatnie trzy, poznałam osoby, które przyjechały tam jako niewierzące. Później spotykałam się z nimi przy innych okazjach. Nawet nie zwróciłam uwagi na to, że widywałam je na chrześcijańskich wydarzeniach. Znam konkretnych ludzi, którzy jadąc na obóz, nie znali Boga, a dziś są z Nim szczęśliwi i zachęcają swoich znajomych do spędzenia kilku dni wakacji w Stężycy.

Zauważyłam, że Pan działa poprzez takie obozy. Używa nastrojonej gitary, wyciszonego pomieszczenia i gotowego do działania człowieka, by nawracać innych ludzi. Jestem bardzo pozytywnie nastawiona do obozów w Stężycy i przekonałam się, że jest to dobra okazja do poznania prawdy, ale jeśli Bóg zaplanował, by dany człowiek Go poznał, to jestem pewna, że ostatecznie stanie się tak, bez względu na to, w jaki sposób spędzi swoje wakacje.

Natalia Uszkiewicz



AGNIESZKA WALICKA

W czerwcu tego roku miałam zaszczyt i przywilej uczestniczyć w niecodziennym wydarzeniu, jakim był Festiwal Nadziei w Warszawie- ewangelizacja z udziałem Franklina Grahama. Początkowo nie było to moim zamiarem. Poszłam na szkolenie dla doradców, ponieważ jednym z zagadnień omawianych podczas sesji było „Jak prowadzić zwycięskie życie chrześcijańskie.” W tamtym czasie był to temat numer 1 w moim życiu. Kiedy na kursie przygotowawczym zwierzyłam się Staszкови Sylwestrowiczowi z moich motywacji, pytając, czy mogę po prostu przychodzić na szkolenie bez zamiaru uczestniczenia w

Festiwalu, jego twarz wyraziła ogromne zdumienie. Oczywiście zgodził się, żebym uczestniczyła, ale też zachęcił mnie, bym zastanowiła się, czy na pewno nie chcę skorzystać ze wspaniałej okazji, jaką stwarza to wydarzenie, by podzielić się z kimś Ewangelią. Czy nie chciałabym zabrać ze sobą kogoś z moich znajomych, którzy nie znają jeszcze Pana Jezusa? Błyskawicznie zmieniłam zdanie.

Nie udało mi się zaprosić nikogo z Gdańska, ale podczas Festiwalu miałam okazję podzielić się Ewangelią z dziewczyną, która okazała się być bardzo otwarta i poszukująca Boga. Miałyśmy zaledwie pół godziny na rozmowę, ale szybko nawiązała się między nami nić porozumienia i podtrzymujemy znajomość drogą emailową. Wcześniej uczestniczyłam kilka

razy w ewangelizacjach jako doradca. Nierzadko zdarzało się, że kiedy mówca zapraszał ludzi do wyjścia na środek, szybko orientowałam się, że dookoła mnie byli jedynie inni doradcy. W czerwcu w Warszawie miało miejsce coś zupełnie innego! Wybiegłam do przodu jako jedna z pierwszych, żeby nie stracić okazji do rozmowy. W dość krótkim czasie zaczął otaczać mnie tłum. Kiedy byłam już w trakcie dzielenia się Ewangelią ze sceny padły słowa organizatorów: „Doradcy, potrzebujemy byćście rozmawiali dziś więcej niż z jedną osobą. Podnieście ręce, jeśli potrzebujecie więcej materiałów i zostaną Wam dostarczone.”

To było naprawdę wspaniałe. Słyszałam, jak inni dookoła mnie dzielą się Ewangelią. Ponieważ osoba, z którą rozmawiałam miała sporo pytań i chciała



usłyszeć, jak to się stało, że przyszedłem do Boga, nie rozmawiałam z nikim innym. Miałymy jedynie pół godziny. Z jednej strony myślałam sobie; To wszystko? Chodziłam na szkolenie, podróżowałam do Warszawy, żeby porozmawiać z jedną osobą? Z drugiej strony miałam poczucie tego, jak niesamowite są Boże drogi. Byłyśmy z przeciwnych krańców Polski, postawione obok siebie przez Boga w ogromnym tłumie. Nie mogłam odeprzeć myśli o tym, jak wspaniałe jest serce naszego Boga, który jest Pasterzem szukającym jednej zagubionej owieczki. Wiem, że było na stadionie więcej ludzi, ale moja perspektywa zogniskowała się wokół jednej osoby, z którą rozmawiałam. Wszystko tego popołudnia było olbrzymie- stadion, chór, scena, telebimy, ilość zespołów uwielbiających. Nie

jestem w stanie wyobrazić sobie, ile wysiłku, trudu, pieniędzy, zdolności i poświęcenia wymagało od organizatorów przygotowanie tej ewangelizacji.

Dowiedziałam się, że przewodniczący komitetu organizacyjnego z ramienia Franklina Grahama przeprowadził się do Warszawy na rok przed festiwalem, by koordynować przygotowania. Wszystko było na naprawdę wysokim poziomie.

Czy warto było wkładać w to tyle wysiłku? Wiem, że nawet jeśli podczas tego wydarzenia na stadionie Pepsi Arena w Warszawie nawróciła się tylko jedna osoba, w niebie była z tego tytułu wielka radość! Taki właśnie jest nasz Bóg — poszukujący grzesznika, nie szczędzący w środkach, by dotrzeć do czyjegoś serca i uratować przed śmiercią

wieczną.

Festiwal, jak każda Ewangelizacja, odświeżył we mnie właściwą perspektywę na otaczającą mnie duchową rzeczywistość, na to, co jest naprawdę ważne. Mówienie innym o Chrystusie to sprawa życia i śmierci. Nie powinnam lekko do tego podchodzić, przepuszczać okazji.

Po raz kolejny utwierdziłam się też w przekonaniu, że nigdy nie czuję się bardziej w centrum Bożej woli dla mojego życia, niż kiedy dzielę się z innymi Dobrą Nowiną o Chrystusie.

Chrześcijananie w Syrii między strachem a nadzieją



„Prosimy, nie zostawiajcie nas samych!”

Syria jeszcze do niedawna mogła być wzorem państwa, gdzie muzułmanie z chrześcijanami żyli w zgodzie i pokoju.

Między rodzinami wyznawców dwóch wielkich religii monoteistycznych panowały bardzo dobre relacje sąsiedzkie i wspólnotowe. Pod władzą partii rządzącej, chrześcijanie mieli zapewnioną wolność religijną, mogli uczęszczać na nabożeństwa, msze św., spotykać się w domach na modlitwie, odnawiać i budować kościoły, społeczeństwo muzułmańskie tolerowało chrześcijańską mniejszość. Chrześcijananie byli na tej ziemi od początku chrześcijaństwa. To tu, Szaweł nawrócił się po spotkaniu z Jezusem, w drodze do Damaszku. Do czasu inwazji muzułmanów i zdobycia tych ziem w VII wieku po Chrystusie, Syria była krajem chrześcijańskim.

Open Doors jeszcze w 2010 r. informowało o wielkim duchowym przebudzeniu chrześcijan ze wszystkich Kościołów obecnych

na tej ziemi. Jednak potem nadeszła wojna domowa, która zamieniła kraj w pustynię i ziemię prześladowań. (Nabożeństwo dla uchodźców. Fot. Open Doors)

Chrześcijananie rozdarci między dwoma frontami

Masowe protesty przeciwko rządowi prezydenta Assada w marcu 2011 r. bardzo szybko przerodziły się w wojnę domową, o, początkowo nieczytelnych konturach. Dziś coraz wyraźniej ukazuje się plan i strategia działania rebeliantów: dążenie do powołania kalifatu, z prawem szariatu jako wyznacznika sposobu życia dla wszystkich obywateli. Dziennikarze z Zachodu nie rozumieją aktualnej sytuacji, która się rozgrywa w Syrii. Ukazują w swoich przekazach czarno-biały świat. Reżim Assada to czarny charakter, rebelianci zaś to dobrzy wojownicy o wolność całego narodu. Open Doors posiada informacje otrzymywane od bezpośrednich świadków wydarzeń, od informatorów, którzy z bliska uczestniczą w rozwoju wydarzeń. Sytuacja, położenie i kondycja chrześcijan są fatalne. Cały naród cierpi bombardowania, potyczki, zamachy. Według najnowszych danych ONZ, nawet 70 tys. ludzi straciło już życie w tej krwawej i brutalnej wojnie. Milion cywilów to uchodźcy, w tym ogromna liczba chrześcijan. Siły opozycyjne traktują chrześcijan jako wrogów i popleczników rządu Assada. Są zatem rozdarci

pomiędzy dwoma frontami. Tak jak cały naród, i oni, cierpią konsekwencje wojny, ale dodatkowo są celem rebeliantów. Nikt im nie pomaga. Nagle stali się obcy w swoim własnym domu. Czyń dobrze tym, którzy cię nienawidzą. Pewien młody chrześcijanin z Aleppo ma własne zdanie na temat aktualnej sytuacji: „Jako Kościół byliśmy zanadto zajęci sobą. Teraz zaczynamy współpracować wszędzie, obserwuję ożywienie chrześcijan i ich wiary”. Zagrożenie i prześladowanie ze strony islamskich fanatyków i rebeliantów (wielu z nich przybyło spoza Syrii), spowodowało nieznaną dotychczas solidarność i współpracę pomiędzy chrześcijanami. Stoją oni na drodze fanatyków, którzy chcą stworzenia islamskiego państwa religijnego. Dlatego są uprowadzani, torturowani, nękanii, wypędzani i zabijani. 150 tys. chrześcijan błąka się po kraju, wielu go opuściło. Bezdomni, wygłodni, zziębnięci, bez dostępu do opieki medycznej i socjalnej, przeżywają wojenną traumę.

Open Doors wspiera Kościół w



Syrii. Szybko reaguje na potężną falę uchodźców. Dzięki rozbudowanej sieci i społecznemu kapitałowi, Dzieło reaguje szybko, niosąc pomoc humanitarną, egzystencjalną i duchową. Ponieważ warunki życiowe w Syrii drastycznie się załamały, Open Doors pomaga niemal trzem tysiącom chrześcijańskich rodzin. Liderzy wspólnot i Kościołów meldują, że w ostatnim czasie zwiększyła się znacząco liczba osób szukających miejsca schronienia i pomocy humanitarnej. Wraz z pogarszaniem się warunków egzystencjalnych wzrasta wiara „niedzielnych” chrześcijan, a także, zainteresowanie chrześcijaństwem wśród muzułmanów. Wstrząśnięci dobrem, otwartością, gościnnością chrześcijan, muzułmanie odkrywają Prawdę i Dobro płynące z Ewangelii. Szczególne wrażenie robi na nich miłość prześladowanych do prześladowców i lekcja miłości wybaczenia. Open Doors prosi, aby teraz, bardzo mocno stanąć po stronie prześladowanych chrześcijan z Syrii. (Chrześcijańska rodzina uchodźców w swoim kościele. Fot. Open Doors)

Syria: Wzmocnienie dla liderów chrześcijańskich

15-09-2014 SYRIA

Kościoły ostrzegają: „Działajcie, zanim będzie za późno!”

(Open Doors) – Grupa młodych liderów z różnych syryjskich kościołów i wspólnot miała okazję



uczestniczyć w szkoleniu Open Doors, skierowanym do duszpasterzy. Spotkania odbyły się w sąsiednim kraju, aby chociaż na kilka dni młodzi chrześcijanie mogli oderwać się od ucisku i strachu, związanego z trwającą w Syrii wojną.



Uczestnicy zachwycali się każdą minutą wolności, ale chłonili również słowa szkolenia. Podczas podróży głośno śpiewali syryjskie pieśni. Można było odczuć, że Bóg przygotowuje ich serca do swoich planów. „Pomogliście nam dostrzec Bożą rękę w naszym

życiu”, potwierdza jeden z uczestników.

„Jesteśmy zaniepokojeni ogromnym cierpieniem” W tym samym czasie rada kościołów protestanckich i ewangelikalnych w Syrii i Libanie wystosowała apel do chrześcijan z całego świata: „Nasze istnienie jest związane nie tylko z walką o równe prawa czy ochroną przed prześladowaniem. Teraz chodzi już o ostrzeganie przed kolejnymi wydarzeniami, które mogą prowadzić do wyginięcia chrześcijaństwa na Bliskim Wschodzie!” Rada kontynuuje: „Jesteśmy zaniepokojeni i zszokowani brutalnymi wybuchami przemocy wobec niewinnych ludzi i całych społeczności, składających się głównie z chrześcijan”. Kościelni liderzy porównują całą sytuację w Syrii z tym, co dzieje się w Iraku i Libanie. „Wypędzenia i morderstwa, które widzimy i

których doświadczamy, graniczą z ludobójstwem”.

Duchowni proszą braci i siostry z



całego świata, aby informowali władze swoich krajów o powadze tej sytuacji. Tylko w ten sposób można zapobiec dalszym atakom na kościoły i emigracjom ludności. W przeciwnym razie „długotrwała jedność historyczna i życie w pokoju obywateli” dobiegnie końca. Ponadto proszą również o kontynuowanie działań, które mają na celu zachowanie chrześcijaństwa, a także o dostarczanie pomocy humanitarnej. „Mamy nadzieję, że uda wam się zadziałać, zanim będzie za późno!”

Open Doors wspiera miejscowych chrześcijan

Państwo Islamskie (IS) grozi rozprzestrzenieniem swojej przemocy nie tylko w Syrii i Iraku. Organizacja chce zapanować również nad Libanem, Jordanią i Pakistanem. Z tego powodu chrześcijanie nie widzą

innego wyjścia z sytuacji, jak tylko ucieczka z Bliskiego Wschodu.

Wstawiamy się po stronie chrześcijan z Syrii

- Módlmy się, aby Ewangelia docierała do coraz większej liczby osób.
- Módlmy się o większą możliwość docierania z pomocą humanitarną do chrześcijan w potrzebie.
- Módlmy się także o prześladowców, aby osobiście poznali Chrystusa.

Nigeria: Przyszłość kościoła pod znakiem zapytania

08-09-2014 NIGERIA (PÓŁNOC)
Boko Haram wprowadzają kalifat i kontynuuje brutalną działalność (Open Doors) – Porwane dziewczęta z Chibok nadal znajdują się w rękach Boko Haram, a ugrupowanie podejmuje kolejne kroki w celu rozszerzenia swoich wpływów w tym regionie. Z końcem sierpnia



opublikowano film, w którym przywódca Boko Haram Abubakar Shekau ogłosił ustanowienie kalifatu. Dotyczy to przede wszystkim wiosek i miast w północnej części Nigerii, która została zajęta przez milicję islamską. Chrześcijański przywódca ostrzega, że przyszłość całego Kościoła na tamtym obszarze stoi pod znakiem zapytania.

Prerażający postęp Boko Haram. Flaga islamistów wisi obecnie nad różnymi miejscami w trzech północno-wschodnich stanach Nigerii: Borno, Yobe i Adamawa. Według najświeższych doniesień mediów w ręce milicji wpadło również miasto Bama, druga co do wielkości miejscowość w stanie Borno. Najwyraźniej nigeryjska armia nie sprzeciwiła się dobrze wyposażonym bojownikom na tyle, aby móc ich zatrzymać. Tysiące cywilów uciekło za granicę do pobliskiego Kamerunu. Ogłoszenie kalifatu stanowi podstawę roszczeń Boko Haram o dojście do władzy. Ta islamska organizacja dąży do utworzenia niezależnego państwa islamskiego, podobnie jak robi to grupa IS w Syrii i Iraku. Jej władca „Kalif” uważany jest za następcę Mahometa i jest zarówno duchowym jak i doczesnym władcą nowego królestwa. W przypadku Boko Haram zostałby nim prawdopodobnie Abubakar Shekau, który jednak nie występował jeszcze w tej funkcji. Okrucieństwa popełniane w imię islamu wobec osób innej wiary uważane są legalne w świetle

nowego prawa.

Sąsiedzi wydają chrześcijan w ręce islamistów

Mamy informacje o 178 zniszczonych kościołach tylko na obszarze miasta Gwoza (stan Borno). „Sytuacja wymyka się spod kontroli. Kościół w mieście Mubi, gdzie wielu uchodźców szuka schronienia, nie może poradzić sobie z ich ogromną liczbą”. Jeden z liderów katolickich diecezji Maiduguri, która obejmuje właściwie trzy dotknięte stany, opowiedział dziennikarzom o licznych atakach na chrześcijan i dodał: „Lokalni zwolennicy Boko Haram wydali część ukrywających się chrześcijan. Teraz islamieści zamieszkują ich domy i jeżdżą ich samochodami”.

Pastor Samuel Dali, zwierzchnik Kościoła Braterskiego w Nigerii (znany również jako Kościół EYN), powiedział w wywiadzie dla Open Doors: „Jeśli nie zatrzymamy tego islamistycznego



powstania, bez wątpienia dojdzie do katastrofy humanitarnej. W takiej sytuacji przyszłość Kościoła w całym tym regionie stoi pod znakiem zapytania”.

Nigeria znajduje się obecnie na 14 miejscu Światowego Indeksu Prześladowań, czyli wśród krajów, gdzie chrześcijanie są najbardziej prześladowani.

Nigeryjscy chrześcijanie potrzebują pilnego wsparcia swoich braci i sióstr z całego świata.

Dziękujemy, że wstawiacie się wciąż za chrześcijan w Nigerii.

- Módlmy się wciąż o porwane dziewczynki, które nadal nie zostały uwolnione.
- Módlmy się o ich jak najszybszy powrót do domu.
- Módlmy się, aby wpływ Boko Haram malał i aby miejscowa ludność przestała ich wspierać.
- Módlmy się o rodziny ofiar

prześladowań, aby Bóg wszechmogący dał im siłę przebaczyć swoim nieprzyjaciołom.

- Módlmy się, aby prześladowani chrześcijanie potrafili w chwili próby wytrwać w miłości do naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa.



Open Doors



KASIA URBAŃSKA



Zupa dyniowa

- 500 g dyni, zważonej ze skórą
- 1 łyżka masła i 1/2 łyżki oliwy
- 1 łyżeczka startego imbiru i szczypta imbiru w proszku
- 1/3 szkl soku z pomarańczy
- bulion jarzynowy lub woda
- 50-125 g serka śmietankowego typu Philadelphia
- pieprz
- 4 łyżki płatków migdałowych

Dynię umyć, usunąć pestki, obrać i pokroić w kostkę. W garnku roztopić masło z oliwą, włożyć imbir i delikatnie podsmażyć przez około pół minuty. Włożyć dynię, szczyptę soli i smażyć mieszając przez około 3 minuty. Dodać imbir w proszku, wlać sok pomarańczowy i tyle wody lub bulionu aby przykryć dynię. Gotować do miękkości przez około pół godziny. Dodać serek i przelać do pojemnika blendera i zmiksować na gładki krem. Po zmiksowaniu sprawdzić czy nie trzeba doprawić zupy solą. Podawać z płatkami migdałowymi zrumienionymi na patelni i świeżo zmielonym pieprzem.

Ciasto borówkowe

- 100 g margaryny
- 100 g cukru
- 3 żółtka
- 60 g słodkiego kakao
- 1 łyżka kakao ciemnego
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- 200 g mielonych orzechów albo migdałów
- ubite białko
- dżem borówkowy
- 250 ml śmietany 30%

Margarynę, cukier, żółtka i słodkie kakao zmiksować. Do masy dodać pozostałe składniki, na końcu wlewając ubite białko. Ciasto przekładamy do średniej tortownicy i pieczemy 40 min. w temperaturze 170 stopni. Po upieczeniu i wystudzeniu smarujemy wierzch ciasta dżemem, a na to układamy ubitą śmietanę. Po wierzchu możemy posypać kakao.

KRZYŻÓWKA

"Kobietę puchu marny" - tak niegdyś pisał jeden z polskich wieszczów Adam Mickiewicz.

Na kartach Biblii możemy zobaczyć, że Pan Bóg powoływał kobiety do "zadań specjalnych" i wyróżnił je w pewien sposób, zamieszczając ich historie jako przykład do naśladowania. Było też wiele epizodów, w których kobiety odegrały rolę "złych charakterów". Wiele razy niewiasty są jedynie wspomniane i nie padają nawet ich imiona.

Czy pamiętasz historie i wydarzenia opisane w Biblii? Czy znasz imiona kobiet lub osób, z którymi miały styczność? Sprawdź się rozwiązując krzyżówkę. :-)

Gorąco zachęcamy do przeszukania Biblii, a jeśli znasz odpowiedzi - do ponownego przeczytania tych fragmentów. Boże Słowo jest ciągle żywe!



Poziomo

- 3. pierwsza miała styczność z Piotrem, gdy Bóg uwolnił go z więzienia
- 7. Samson wyjawiał jej tajemnicę pochodzenia swojej nadzwyczajnej siły
- 9. przyszły do niego córki Selofchada z prośbą o dziedzictwo po ojcu
- 12. wyprosiła u Boga syna i oddała go na służbę Heliemu
- 13. żona zarządcy Heroda, która służyła majątkami Jezusowi
- 16. matka Salomona
- 17. sprzedawczyni purpury, która gościła Pawła
- 18. dzięki wstawiennictwu u króla uratowała naród żydowski
- 20. urodziła bliźnięta: Persa i Zeracha

Pionowo

- 1. z jej powodu Eliaś ukrywał się na pustyni
- 2. jego żona nie usłuchała Boga i zamieniła się w słup soli
- 4. w jego domu grzesznica namaszczała olejkiem stopy Jezusa i wycierała je włosami
- 5. wskrzesił syna Szunamitki
- 6. została pokryta trądem z powodu wypowiadania się przeciwko Mojżeszowi
- 8. gdy został uderzony kamieniem w głowę przez kobietę, poprosił giermka o dobicie
- 10. stała ze swoją siostrą Marią pod krzyżem
- 11. matka Ismaela
- 13. przez podstępne działanie żony Potyfara trafił do więzienia
- 14. Adoniasz prosił o nią Batszebę
- 15. jemu królowa Saby podarowała złoto i wonności
- 18. Paweł wyróżnił jej nieobłudną wiarę w liście do Tymoteusza
- 19. została wskrzeszona przez Piotra
- 21. ciężko pracowała na polu Boaza

Stawiska 2014

